

An aerial photograph of a paved sidewalk. Two people are crouching on either side of a black street lamp. The person on the left is wearing a bright yellow shirt, and the person on the right is wearing a brown shirt. The sidewalk is made of large, grey rectangular paving stones. A white bag is on the ground near the person in the brown shirt, and a skateboard is visible on the right side of the frame.

E. T. A. HOFFMANN

---

**Wybór narzeczonej**

  
wolnelektury.pl



FUNDACJA  
nowoczesna  
Polska

E. T. A. HOFFMANN  
POWIEŚCI FANTASTYCZNE

# *Wybór narzeczonej*

HISTORIA, W KTÓREJ ZACHODZĄ ROZMAITE NIEPRAWDOPODOBNE PRZYGODY  
TŁUM. ANTONI LANGE

## ROZDZIAŁ I

W jesienną noc, w czas zrównania dnia z nocą, sekretarz kancelarii państwowej Tussman wyszedł z kawiarni, w której zazwyczaj przesiadywał co wieczór kilka godzin i powracał do domu. Sekretarz ten, pod wszystkimi względami ścisły i punktualny, przywykł zdejmować surdut<sup>1</sup> i buty dokładnie w chwili, kiedy zegary na kościołach Świętego Mikołaja i Przenajświęt-

---

<sup>1</sup>*surdut* — część męskiej garderoby, przedłużana marynarka. [przypis edytorski]

szej Panny biły jedenastą, tak, że przy ostatnim uderzeniu dzwonu kładł na głowę szlafmycę<sup>2</sup>. By tego dnia nie był spóźniony, gdyż dzwony już zaczynały swe kołysanie, przyśpieszył kroku tak, że zdawało się biegł kłusem i gdy właśnie z ulicy Królewskiej wchodził na Szpandawską, usłyszał w pobliżu szczególny hałas, który go zatrzymał na miejscu. Pod wieżą starego ratusza, przy blasku latarni ujrzał długą postać, całą w ciemny płaszcz zasnutą. Nieznajomy walił do drzwi Warnatza, handlującego żelazem, cofał się, wzdychał i podnosił wzrok ku zrujnowanym oknom wieżycy.

— Drogi panie — rzekł sekretarz tajny do tego człowieka — pan się myli. Ani jedna dusza ludzka nie mieszka na szczycie tej wieży i mógłbym nawet powiedzieć, żadna istota żywa, z wyjątkiem szczurów i myszy oraz paryków. Jeżeli pan ma jakiś interes do pana Warnatza, to musi pan powrócić jutro rano.

— Czcigodny panie Tussman...

---

<sup>2</sup>*szlafmyca* — nocne nakrycie głowy. [przypis edytorski]

— Sekretarz prywatny kancelarii państwowej od wielu lat — pośpieszył dodać Tussman, choć bardzo zdziwiony, że obcy zna jego nazwisko. Ten nie zwracał zupełnie uwagi na te słowa i mówił dalej:

— Czcigodny panie Tussman, myli się pan co do powodów mojej obecności w tym miejscu, nie mam żadnego interesu do pana Warnatza. Ponieważ jest to dziś równonocny moment jesieni, chcę widzieć narzeczoną. Już ona słyszała bicie mego serca, westchnienia mej miłości i wkrótce się w oknie pokaże.

Ton głosu, jakim nieznajomy wypowiedział te słowa, był tak uroczysty i tak dziwny, że sekretarz kancelarii poczuł zimny pot, oblewający naraz całe jego ciało. Pierwsze uderzenie godziny jedenastej zabrzmiało na szczycie wieży Panny Marii; w tej samej chwili usłyszano pewien szmer na wieży ratuszowej i w oknie ukazała się postać kobieca. Gdy blask latarni oświetlił tę nową twarz, Tussman żalosnym głosem szepnął:

— Sprawiedliwy Boże! Potęgi niebieskie, co znaczy ta tajemnica?

Postać znikła wraz z ostatniem uderzeniem zegara — to znaczy w tej chwili, gdy Tussman miał zwyczaj wciągać na uszy szlafmycę.

To zdumiewające zjawisko, rzekłbyś, odebrało sekretarzowi przytomność. Jęczał, wzdychał, patrzył w okno i mówił sam do siebie po cichu:

— Tussmanie, Tussmanie, sekretarzu prywatny kancelarii, miej siłę ducha, nie pozwól się obłąkać własnemu sercu, nie pozwól diabłowi, by cię na manowce sprowadził.

— Zdajesz mi się bardzo wzruszony tym, co widziałeś, mój dobry panie Tussman! — rzekł nieznajomy. — Ja chciałem tylko widzieć narzeczoną; a co do ciebie, to zdaje się, doznałeś jakichś szczególnych wrażeń.

— Proszę cię, proszę — szeptał Tussman — nie odmawiaj mi moich tytułików; jestem sekretarzem tajnym kancelarii państwowej, a o godzinie, jaką mamy teraz, sekretarz jest bardzo zmieszany i przygnębiony. Przebacz mi, dostoj-

ny panie, jeżeli mu nie nadaję tytułu, jaki mu się należy; nie mogę tego uczynić wobec mej całkowitej nieświadomości wszystkiego, co dotyczy jego szanownej osoby. Ale nazywać go będę radcą tajnym, gdyż w naszym kochanym Berlinie tylu jest ludzi, co noszą ten tytuł, że używając go na chybił-trafił, rzadko kiedy się omylisz. Powiedz mi zatem, panie radco tajny, jaką to narzeczoną chciałeś widzieć o tak spóźnionej godzinie?

— Jest pan — rzekł, podnosząc głos, nieznamy — jest pan szczególny człowiek ze swoją manią tytułów i rang. Jeżeli dla znajomości różnych spraw tajemnych i dla udzielania dobrych rad można się tytułować tajnym radcą, to niewątpliwie jestem tajnym radcą. Dziwię się, że człowiek, co jak pan czytał tyle ksiąg i rękopisów, nie wie, że gdy wtajemniczony... rozumie pan, wtajemniczony przychodzi w czas zrównania dnia z nocą, by o godzinie II uderzyć u stóp tej wieży, zobaczy w tym oknie dziewczynę, która aż do chwili równonocnej wiosen-

nej będzie najszczęśliwszą narzeczoną w Berlinie.

— Panie radco tajny! — zawołał Tussman w uniesieniu nagłej radości — mój najłaskawszy radco tajny, czyżby to była prawda?

— Bez wątpienia — odrzekł nieznajomy. — Ale cóż my tak długo robimy tu na ulicy? Minęła już chwila, w której się kładziesz do łóżka. Idźmy do nowej winiarni na placu Aleksandra. I jedynie po to, abyś się mógł więcej dowiedzieć o narzeczonej i abyś na nowo odzyskał spokój ducha, który utraciłeś, nie wiem jak i dlaczego.

Sekretarz prywatny był człowiekiem, który prowadził nadzwyczaj regularne życie. Jedyłą jego rozrywką było, że co wieczór parę godzin przepędzał w kawiarni i pijąc szklanke piwa, czytał gazety i broszury polityczne. Prawie nie pił wina: w niedzielę tylko, po kazaniu, wchodził do winiarni i kazał sobie podawać szklanke Malagi i biskopt. Myśl, że ma przepędzić noc przy stole, przepełniała go dreszczem strachu;

i niepodobna<sup>3</sup> zrozumieć, jakim sposobem dał się pociągnąć nieznanemu i bez najmniejszego oporu poszedł z nim razem, aż się znalazł na placu Aleksandra.

W sali, do której weszli, był już tylko jeden człowiek siedzący przy stole, z wielką szklanką wina reńskiego. Głębokie zmarszczki na jego twarzy świadczyły o podeszłym wieku. Spojrzenie miał bystre, przenikliwe, a z białej brody poznać było można Żyda, który ściśle zachował obyczaje przodków. Odziany był starą modą, jaka istniała między 1720 a 1730 r. Ale nieznanomy, którego spotkał Tussman, wyglądał jeszcze osobliwiej.

Był to człowiek wysokiego wzrostu, chudy, lecz mocny, a zdawał się mieć około pięćdziesięciu lat. Twarz jego może niegdyś była ładna; wielkie oczy miały jeszcze niemało blasku młodzieńczego pod czarnymi brwiami. Czoło otwarte, nos orli, usta delikatne i okrągły podbródek, wszystko to nie bardzo go wyróżniało wśród tysiąca innych. Ale gdy jego kape-

---

<sup>3</sup>*niepodobna* (daw.) — nieprawdopodobne, niemożliwe. [przypis edytorski]



lusz i spodnie były wykrajane według ostatniej mody, płaszcz i kołnierz — datowały z końca XVI w., a jego spojrzenie lśniące jak błyskawica w głębokiej nocy, przygłuszony dźwięk głosu i cała jego osoba budziła swą obecnością jakieś poczucie szczególne i niepokojące. Nieznajomy powitał jak dobrego przyjaciela starca siedzącego przy stole.

— A więc jesteś na koniec — zawołał. — Zawsze zdrów?

— Jak widzisz — odparł starzec tonem wielkości — zdrów i cały; gdy trzeba, czynny i wesoły.

— To kwestia, to kwestia — rzekł nieznajomy z uśmiechem i zażądał od posługacza butelki starego wina francuskiego.

— Mój szanowny i dostojny radco tajny — rzekł Tussman. Ale cudzoziemiec szybko mu przerwał:

— Dajmy spokój — rzekł — z tymi tytułami, drogi panie Tussman! Nie jestem ani radcą tajnym, ani sekretarzem tajnym. Jestem po

prostu artystą, który obrabia szlachetne metale, drogie kamienie i nazywam się Leonard.

— A zatem jest to złotnik, jubiler — szep-  
tał do siebie Tussman. Rozważył też zaraz, że  
na pierwszy widok cudzoziemca powinien był  
zrozumieć, że ten człowiek nie może być radcą  
tajnym, gdyż jego płaszcz i beret nie odpowia-  
dają zupełnie osobie utytułowanej.

Leonard i Tussman siedli w pobliżu starca,  
który ich powitał wykrzywionym uśmiechem.

Gdy Tussman, pod naciskiem Leonarda,  
wypróżnił kilka szklanek wina, jego blade po-  
liczki zarumieniły się i na usta powrócił uśmiech;  
z zadowoleniem przyglądał się nieznajomemu,  
jakby najśłodsze obrazy migwały mu przed okiem.

— Teraz — rzekł Leonard — powiedz mi,  
drogi panie Tussman, dlaczego tak osobliwie  
się zachowywałeś, gdy narzeczona ukazała się  
w oknie wieżycy i jaka myśl zajmuje cię teraz?  
Jesteśmy, czy wierzysz czy nie, starzy znajomi,  
a wobec tego zacnego człowieka nie ma potrze-  
by się krępować.

— O Boże! — odparł sekretarz prywatny kancelarii — o Boże!... Szanowny profesorze, pozwól, że będę cię tytułował w ten sposób, bo, że pan jest, jak sędzę, wybornym artystą, miałbyś prawo być profesorem w Akademii Sztuk Pięknych. A zatem, czcigodny profesorze, jakże zamilczeć mam przed tobą to, czym serce me jest przepelnione? Jestem, jak to mówią, konkurentem i w równonocny czas wiosenny zamierzam do swego domu wprowadzić słodką narzeczoną. Jakże nie mam być wzruszony, gdy ty mi pokazałeś szczęśliwą narzeczoną?

— Jak to? — zawołał starzec zgrzytliwym głosem. Jak to? Pan się chce żenić? Ależ pan jest na to i za stary i za brzydki.

Tussman był tak zdumiony niewiarogodną brutalnością starego Żyda, że nie mógł słowa powiedzieć.

— Nie gniewaj się na tego człowieka — rzekł Leonard — że w ten sposób mówi do ciebie; nie ma on tak złych zamiarów, jakby można przypuszczać. Ale muszę ci szczerze wyznać, zdaje mi się, że trochę zbyt późno postanowiłeś

się ożenić; masz zapewne około pięćdziesięciu lat.

— Dziewiątego października, w dzień Świętego Dionizego<sup>4</sup> — odparł nieco żywo Tussman — kończę rok czterdziesty ósmy.

— Niechaj będzie, jak pan chce — mówił dalej Leonard — wiek nie jest przeszkodą; aż dotąd prowadziłeś proste i spokojne życie człowieka bezzennego, nie znasz rodzaju kobiecego i nie będziesz wiedział, jak załatwić tę sprawę.

— Jak załatwić sprawę? — rzekł Tussman. — Ach, drogi profesorze, traktujesz mnie, jako człowieka szczególnie lekkomyślnego i głupca, jeżeli sądzisz, że mógłbym działać na ślepo, bez rady i bez rozwagi. Obmyślałem bardzo poważnie każdy krok, jaki czynię i gdy czuję się trafiony grotem tego przewrotnego boga, którego starożytni nazywali Kupidynem<sup>5</sup>, czyż nie jest moim obowiązkiem wyteńczyć wszystkie siły mego umysłu, by się dostosować należycie

---

<sup>4</sup>*Święty Dionizy* — święty katolicki, męczennik, patron Francji, wspomniany 9 października. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>*Kupidyn* — w mit. rzym. bóg miłości. [przypis edytorski]

do swego nowego położenia? Ten, co ma зда-  
wać trudny egzamin, czyż nie bada starannie  
wszystkich kwestii, o jakie mógłby być zapy-  
tywany? A więc, drogi profesorze, małżeństwo  
moje jest to egzamin, do którego się przygo-  
tuję i który myślę zdać ze stopniem celującym.  
Oto spójrz, mała książeczka, którą ciągle noszę  
ze sobą i którą studiuję co chwila, odkąd po-  
wziąłem postanowienie, by się kochać i by się  
ożenić. Patrz na nią, a przekonasz się, że sprawę  
badam do gruntu i że nie jestem bez doświad-  
czenia, chociaż płeć żeńska, wyznaję, była mi  
dotychczas całkowicie obca.

To rzekłszy, sekretarz prywatny kancelarii  
otworzył małą książeczkę oprawną w pergamin  
i odczytał jej tytuł, który brzmiał, jak następu-  
je:

*„Krótki wykład mądrości politycznej, który  
zawiera sztukę prowadzenia siebie i prowadzenia  
innych w towarzystwie ludzkim. Tłumaczył z ła-  
tyny mistrz Tomasius, ku największemu pożytko-  
wi tych, którzy chcą osiągnąć mądrość. Frankfurt  
i Lipsk, u spadkobierców Jana Grossa, 1710”.*

— Uważaj— rzekł Tussman z nader miłym uśmiechem— jak ten szanowny autor mówi, w R. VII, o małżeństwie i o przezorności ojca rodziny:

„§ 6. Nie należy się z tym zanadto śpieszyć. Ten, który się żeni w wieku dojrzałym, jest w tej sprawie o tyle zręczniejszy, o ile mądrzejszy. Małżeństwa zbyt prędko zawarte — rodzą podstęp i hańbę — i niszczą naraz ciało i duszę... Co do wyboru osoby, którą zamierzasz kochać i poślubić, oto co mówi ten doskonały Tomasius.

„§ 9. Miara średnia jest zawsze rzeczą najpewniejszą. Nie bierz kobiety ani zbyt pięknej, ani zbyt brzydkiej; ani zbyt bogatej, ani zbyt ubogiej; ani postawionej zbyt wysoko, ani też zbyt nisko: ale stanu równego naszemu, a co do innych cech — miara średnia jest najlepsza”.

— Podług rad Tomasiusa — mówił dalej Tussman — nie ograniczyłem się wcale do jednej rozmowy z miłą osobą, którą sobie wybrałem; rozmawiałem wielokrotnie, gdyż, jak to czytamy w § 17 tej książeczki, można przez jakiś

czas ukrywać swe wady i udawać cnoty, ale po dłuższym okresie prawda wyjdzie na wierzch jak oliwa.

— Aby takie mieć stosunki — rzekł Leonard — albo, jak to pan mówi, takie rozmowy z kobietami, sędzę, że dla uniknięcia pomyłki trzeba już mieć dość znaczne doświadczenie.

— Tu — rzekł Tussman — wielki Tomasz raz jeszcze przychodzi mi z pomocą, gdyż naucza, jak należy z niewiastami prowadzić rozmowę poważną i jak w nią wtrącać miłe żarciki: Trzeba — mówi ten uczony autor w rozdziale V swego dzieła — tak używać żartu, jak kucharz soli, lub by powiedzieć lepiej, jak się używa broni nie dla ataku, lecz dla obrony.

— Widzę — rzekł złotnik — że nie można cię zwalczyć: jesteś przygotowany na wszelki przypadek i założyłbym się, że dzięki swemu postępowaniu już zdobyłeś sobie miłość wybranej damy.

— Staram się — rzekł Tussman — zdobyć ją sobie drogą uprzejmości i szacunku, gdyż

jest to najnaturalniejsza oznaka miłości. Lecz nie posuwam szacunku zbyt daleko, przekonany, jak to naucza Tomasius, że kobieta nie jest ani szatanem, ani też aniołem, ale prostym stworzeniem ludzkim, kruchszym od nas co do ciała i ducha.

— Bodajeś miał zły rok! — krzyknął stary Żyd rozgniewany. — Cóż ty tu pleciesz bez końca i bez sensu i burzysz mi spokój, którego tu oczekiwałem, dokonawszy swego *opus magnum*<sup>6</sup>.

— Milcz, starcze! — zawołał złotnik podniesiony głosem. — Bądź kontent<sup>7</sup>, że ci tu pozwalają siedzieć, bo przy swojej brutalności jesteś niemiłym gościem, którego by należało wygnać za drzwi. Niech pan nie zwraca uwagi na tego człowieka, drogi panie Tussman. Jesteś pan zwolennikiem dawnych czasów, lubisz Tomasiusa. Co do mnie — idę dalej jeszcze: kocham tylko czas, z którym się wiąże część mego ubioru. Tak, godny sekretarzu, ów czas wart

---

<sup>6</sup>*opus magnum* (łac.) — wielkie dzieło. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>*kontent* (z fr. *content*) — zadowolony. [przypis edytorski]



był więcej niż dzisiejszy i z tej to epoki datują wszystkie czarnoksiężstwa, które widziałeś dziś na starym ratuszu.

— Jakże to, szanowny profesorze? — zapytał sekretarz.

— Niegdyś — mówił złotnik — bywały na ratuszu często gody weselne, a wyglądały one inaczej, niż dzisiejsze. Wtedy szczęśliwa narzeczona promieniała w oknie i muszę wyznać, że nasz kochany Berlin był w owym czasie bardziej ożywiony, bardziej uśmiechnięty niż dziś, gdy wszystko jest robione według jednego wzoru, gdy w nudzie nawet szukają jeszcze rozkoszy nudzenia się. W owych czasach zabawy publiczne były całkiem inne niż dzisiaj. Przypomnę tylko uroczystość odprawioną w r. 1581, kiedy elektor August Saski<sup>8</sup> przybył z Kolonii ze swą małżonką, synem Chrystianem i wspaniałym orszakiem szlachty. Mieszkanie Berlina, Kolonii i Szpandawy<sup>9</sup> ustawili się w dwa szeregi od bramy Köpenickiej aż do

---

<sup>8</sup>*August Saski* (1526–1586) — książę elektor Saksonii. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>*Szpandawa* (niem. *Spandau*) — dzielnica Berlina. [przypis edytorski]

pałacu. Nazajutrz był huczny turniej, na którym widziano elektora saskiego, hrabiego de Barby i wielu innych, w hełmach wysokich, z chorągwiami ozdobnymi lwią głową, a na nogach mieli strój barwy ciała, by naśladować starożytnych wojowników pogańskich. Śpiewacy i grajkowie na różnych instrumentach, ukryci byli w budynku na wzór arki Noego, pięknie wyzłoconym, a na tej arce małe dziecko w materii cielistej, ze skrzydełkami, z łukiem i kołczanem, z przepaską na oczach, jak malują Kupidyna. Dwoje innych dzieci, pokrytych białośnieżnymi piórkami, o złotych oczach i dziobach gołębic, prowadziło arkę, w której brzmiała muzyka w chwili przyjazdu księcia; potem liczne gołębie wyleciały z arki, a jeden z nich, siadłszy na sobolowej czapce naszego najświetniejszego elektora, zaczął bić skrzydłami i śpiewać jakąś arię cudzoziemską, daleko piękniejszą, niż ta, jaką słyszano w 70 lat później, gdy śpiewał mistrz kapeli Bernard Pasquino Grosso z Mantui. Był potem turniej, na którym się

ukazał elektor Saski i hrabia de Barby, w okręcie pokrytym materią żółtą i czarną i z chorągwią złotą. Za nimi dziecko, które dnia wczorajszego grało rolę Kupidyna, ukazało się tym razem w długiej, pstrej sukni, w czapce żółto-czarnej i z długą siwą brodą. Dokoła okrętu tańczyły i skakały osoby szlacheckiego rodu, przystrojone w głowy i ogony łososi, śledzi i innych lekkich rybek. Wieczorem o dziesiątej — puszczono ogień sztuczny, wyobrażający twierdzę obleżoną przez lancknechtów<sup>10</sup>, którzy byli znakomitymi strzelcami i za pomocą swych arkebuzów urządzali rozmaite figle. Wiedziano w powietrzu, jak zapalali się i rozpryskiwali ludzie ogniści i ogniste konie, ptaki nieznanne i inne nadzwyczajne zwierzęta. Zabawa ta trwała dwie godziny.

Kiedy złotnik wszystko to opowiadał, sekretarz prywatny słuchał go z wyrazem najwyższego zaciekawienia; pocierał ręce, wykrzy-

---

<sup>10</sup>*lancknecht* — żołnierz piechoty niemieckiej na przełomie XV i XVI w. [przypis edytorski]

kiwał, poruszał się na krześle i co chwila pił nowy kieliszek wina.

— Mój szanowny profesorze — zawołał wreszcie falsetem<sup>11</sup>, jaki zwykle przybierał w ekstazie radości; mój drogi i szanowny profesorze, są to rzeczy nadzwyczajne, a ty je opowiadasz tak, jakbyś je sam był widział.

— Ba — odparł Leonard — i czemuż bym ich sam nie miał widzieć?

Tussman, nie rozumiejąc znaczenia tych zdumiewających wyrazów, chciał dalsze zadawać pytania, gdy starzec rzekł do złotnika:

— Zapominasz o najpiękniejszych uroczystościach, co to cieszyły Berlin w czasie, którego chwałę opiewasz. Nie mówisz o tych stosach, na których płynęła krew nieszczęsnych ofiar, którym za pomocą okropnych tortur wydzierano wszelkie zeznania, jakie tylko mógłby sobie wyobrazić najgrubszy przesąd.

— Ach — rzekł sekretarz prywatny — chcesz zapewne, drogi panie, mówić o tych procesach czarnoksiężników, jakie robiono dawnymi cza-

---

<sup>11</sup>*falset* — nienaturalnie wysoki głos męski. [przypis edytorski]

sy. Tak, były to rzeczy złe, którym szczęśliwie kres położył nasz wiek oświecony.

Złotnik rzucił osobliwym spojrzeniem na starca i na Tussmana i z tajemniczym uśmiechem zapytał, czy znają historię intendentu skarbu, Żyda Lippolda, która się odbyła w r. 1572.

Zanim Tussman odpowiedział, Leonard zaczął mówić:

— Ten Lippold, który miał całe zaufanie elektora i któremu powierzone były finanse kraju, oskarżony został o wielkie szachrajstwa<sup>12</sup>; ale, czy to, że się umiał usprawiedliwić, czy też, że miał do rozporządzenia inne środki, by wykazać swą niewinność wobec elektora, czy też przekupił osoby zaufane: dość, że go uniewinniono całkowicie. Tylko straże miejskie czuwały koło jego domu, na ulicy Stralowskiej. Pewnego dnia pokłócił się z żoną, która w gniewie zawołała:

— Gdyby elektor wiedział, jakim ty jesteś niegodziwcem i ile złego możesz zrobić za po-

---

<sup>12</sup>*szachrajstwo* — kręctwo, oszustwo. [przypis edytorski]

mocą swojej księgi czarnoksięskiej, to by cię upiekli na stosie!

O tych słowach doniesiono księciu, który nakazał zrobić surową rewizję w domu Lippolda. Znaleziono księgę magiczną, a ponieważ byli ludzie, co ją rozumieli, oczywista się stała zbrodnicość Żyda. Zażywał on diabelskich środków, aby uwieść swego pana i rządzić krajem. Spalono go na nowym rynku: ale gdy płomienie pożarły jego ciało i przekłętą księgę, naraz<sup>13</sup> ze stosu wyszła wielka mysz; niejednen z widzów był przekonany, że to właśnie jest demon Lippolda.

W czasie tego opowiadania złotnika starzec siedział, oparłszy o stół ramiona i ukrył twarz w dłoniach, przy czym jęczał i wzdychał, jak człowiek, który doznaje niewymownych cierpień.

Tajny sekretarz prywatny zdawał się przeciwnie mało zwracać uwagi na to opowiadanie. Twarz jego była uśmiechnięta, a umysł zaję-

---

<sup>13</sup>*naraz* (daw.) — nagle. [przypis edytorski]

ty wcale<sup>14</sup> inną sprawą. Gdy Leonard skończył mówić, sekretarz zwrócił się do niego i słodkawym głosem powiedział:

— Mój czcigodny i szanowny profesorze, czy to istotnie była panna Albertyna Voswinkel, co spoglądała na nas swymi pięknymi oczami ze szczytu wieży?

— Jak to? — odparł złotnik. — I cóż pan ma za sprawę z czarującą panną Albertyną?

— Ach — zawołał nieśmiało Tussman — ależ to jest właśnie ta miła osoba, którą postanowiłem kochać i poślubić.

— Panie — zawołał złotnik, zaczerwieniony, łyskając płomieniami w oczach — panie, sądzę, że jesteś opętany przez diabła lub całkowicie pozbawiony zmysłów: pan chce poślubić młodą Albertynę, pan, nędznik zużyty do szczytu przez lata, pan, który z całą swoją mądrością szkolną i z swoim Tomasiusem — nie widzisz nic o trzy kroki przed nosem? Nie oddawaj się ani na chwilę takim myślom albo ci kark złamię w to zrównanie dnia z nocą!

---

<sup>14</sup>wcale (daw.) — całkiem. [przypis edytorski]

Sekretarz prywatny był człowiekiem łagodnym, spokojnym, nawet bojaźliwym, który nigdy nie odpowiadał ostro na zaczepki. Lecz odezwa złotnika była zbyt gwałtowna, a że zresztą Tussman pił więcej niż zwykle, podniósł się rozgniewany i chrapliwym głosem jął krzyczeć:

— Nie wiem, na jakiej zasadzie przypisuje pan sobie prawo mówienia do mnie w ten sposób, panie nieznajomy! Sądzę, że chciałeś sobie ze mnie zakpić szeregiem igraszek dziecinnych, i że sam ośmielasz się miłować pannę Albertynę. Narysowałeś na szkle jej portret i za pomocą latarni magicznej, którą ukryłeś pod płaszczem, pokazałeś mi na wieży starego ratusza tę miłą postać. Ale ja znam te wszystkie fortele i mylisz się, jeśli ci się zdaje, że mnie złamiesz tymi figlami i swoją grubiańską mową.

— Strzeż się — rzekł złotnik — strzeż się, bratku! Masz tu sprawę z bardzo ciekawymi ludźmi!

W tej samej chwili twarz złotnika zmieniła się w lisią głowę, która tak przeraziła sekretarza,



że upadł i wywrócił się na krześle. Starzec nic a nic się nie zdziwił tą przemianą złotnika:

— Patrzcie — rzekł — co za żarty! To pusta igraszka. Ja znam lepsze, a dla ciebie za wysokie, Leonardzie!

— Pokaż — rzekł złotnik, który znów przybrał twarz ludzką i spokojnie siedział przy stole. — Pokaż, co umiesz robić.

Starzec wyjął z kieszeni wielką czarną rzodkiew, zdjął z niej dokładnie łupinę nożem, pokrajał ją na małe plasterki i położył je na stole. Za każdym razem, gdy uderzał w rzodkiew, powstawała sztuka złotej monety, którą Żyd podawał Leonardowi, a skoro tylko ów jej dotykał, złoto rozpadało się w iskierkach. Starzec rozdrażniony, że sztuki złota tak się kruszą, coraz więcej bił w rzodkiew i coraz nowe monety składał w ręce złotnika.

Sekretarz, przerażony, wyrwał się na koniec z oszołomienia i rzekł głosem drżącym:

— Moi czcigodni panowie, mam zaszczyt was pożegnać. — Po czym, pochwyciwszy laskę i kapelusz, wyskoczył z winiarni.

Na ulicy słyszał, jak dwaj zagadkowi jego-  
moście pękali ze śmiechu. Krew zastygła mu  
w żyłach.

## ROZDZIAŁ II

Młody malarz Edmund Lehsen zapoznał się ze  
złotnikiem w sposób daleko poważniejszy, niż  
sekretarz prywatny Tussman. Edmund siedział  
pewnego dnia w samotnym miejscu w parku  
i rysował według natury grupę drzew, gdy Le-  
onard nadszedł i bez ceremonii poprzez ramię  
zaczął się przyglądać jego pracy. Edmund ry-  
sował dalej, aż złotnik zawołał:

— Szczególną rzecz tu robisz, młodzień-  
cze; to przecież nie jest grupa drzew, to zupeł-  
nie coś innego.

— Cóż widzisz w tym rysunku? — rzekł  
Edmund błyskając okiem.

— Zdaje mi się — rzeki złotnik — że wi-  
dzą tu z gęstwiny liści wychodzące najrozmai-  
sze postacie, geniusze, osobliwe zwierzęta, mło-  
de dziewczyny i kwiaty, a jednak wszystko to

tworzy dość dobrze grupę drzew, poprzez które świecą promienie słońca.

— Ach, panie — rzekł Edmund — albo ma pan głębokie poczucie i przenikliwe oko, albo też byłem szczęśliwszy niż kiedykolwiek w tej próbie. Czy nie zdaje się panu także, gdy się oddajesz gorącemu poczuciu natury, że tysiące istot cudownych patrzy na ciebie skroś<sup>15</sup> drzewa o miłym spojrzeniu? To właśnie chciałem wykazać w tej kompozycji i zdaje mi się, że cel osiągnąłem.

— Rozumiem — odparł Leonard tonem suchym i zimnym — chciałeś się wyzwolić od wszelkich studiów i rozkoszować się grą własnej fantazji.

— Nie, panie — odparł Edmund — uważam ten sposób pracy według natury jako studium najlepsze i najużyteczniejsze; w tym widzę prawdziwą poezję. Malarz pejzażysta powinien być poetą, jak malarz historyczny: inaczej będzie tylko lichym uczniem.

---

<sup>15</sup>skroś (daw.) — przez. [przypis edytorski]

— Niechaj Bóg czuwa nad nami! Jak to?  
I ty także, drogi Edmundzie Lehsen!

— Jak to, pan zna moje nazwisko?

— Czemuż bym nie miał go znać? Widziałem cię w chwili, której zapewne sobie nie przypominasz, w chwili twoich narodzin. Przy bardzo małym doświadczeniu, jakie było wówczas twym udziałem, prowadziłeś się zgoła przyzwoicie; gdyż matce swojej ból sprawiłeś niewielki i wydałeś okrzyk radości na widok światła, którego ci za moją sprawą nie odmówiono. Przekonany jestem, zgodnie z opinią nowych lekarzy, że to światło nie tylko nowonarodzonym nie szkodzi, ale owszem dopomaga ich rozwojowi fizycznemu i moralnemu. Pan ojciec był też bardzo zadowolony; skakał na jednej nodze i śpiewał arie z *Fleta zaczarowanego*<sup>16</sup>. Potem złożył twoją malutką osobę w moje ręce i prosił mnie, bym ci postawił horoskop, co też z miejsca uczyniłem. Bywałem częstym gościem u twego ojca i pochopnie przyjmo-

---

<sup>16</sup>*Flet zaczarowany* — właśc. *Czarodziejski flet*. Opera skomponowana przez Wolfganga Amadeusza Mozarta w 1791 r. [przypis edytorski]

wałeś z moich rąk rodzynki i migdały, które ci przynosiłem. Potem udałem się w podróż; miałeś wtedy sześć lub siedem lat. Po powrocie do Berlina dowiedziałem się z przyjemnością, że ojciec twój przysłał cię tutaj na studia malarskie, którym trudno by ci było poświęcić się w twojej wiosce, gdzie, o ile mi wiadomo, niewiele się znajduje obrazów, marmurów, brązów i innych dzieł drogocennych.

— Boże! — zawołał Edmund. — Teraz wszystkie wspomnienia młodości odrysuują się w moim umyśle. Czy nie jesteś panem Leonardem?

— Istotnie — rzekł złotnik. — Nazywam się Leonard, byłbym jednak bardzo zdumiony, gdybyś o mnie jakieś wspomnienie zachował.

— A jednak to prawda — rzekł Edmund. — Wiem, że twoja obecność była mi bardzo przyjemna, że mi przynosiłeś wszelkiego rodzaju łakocie i że wiele się mną zajmowałeś. Wiem, że twój widok budził we mnie jakiś trwożny szacunek i zakłopotanie, co trwało nawet po twoim zniknięciu; ale zwłaszcza wyryło mi się z pamięci to, co ojciec mój opowiadał o tobie;

szczylił się twoją przyjaźnią i mówił mi, żeś go z rzadką zręcznością wydobył nieraz z kłopotliwej sytuacji; mówił też z entuzjazmem, jak to przeniknąłeś wiedzę tajemną; twierdził, że do woli władasz tajemniczymi potęgami natury, a niekiedy, wybacz, wyrażał przypuszczenie, że możesz być Ahaswerem czyli Żydem Wiecznym Tułaczem.

— Czemuż nie Szczurołapem z Hammeln, albo starym Wszędobylskim i Nigdziebylskim albo jakimś koboldem, krasnoludkiem? — odrzekł złotnik. — Ale to prawda i nie mogę zaprzeczyć, że mam w sobie pewne osobliwości, które w ludziach budzą zawsze złośliwe podejrzenia. Prawda i to, że oddałem twemu ojcu liczne i ważne usługi dzięki swym naukom tajemnym i zwłaszcza rozradowałem go horoskopem, jaki ci postawiłem przy urodzeniu.

— A więc — odparł z rumieńcem na twarzy Edmund — twój horoskop nie był świetny. Mój ojciec często mi powtarzał, że według waszej sentencji miałem zostać czymś wielkim: albo wielkim artystą, albo wielkim wariatem.

Ale tej to przepowiedni zawdzięczam, że ojciec dał mi zupełną swobodę w poświęceniu się karierze artystycznej; czy sądzisz, że się horoskop urzeczywistni?

— Och, niewątpliwie — odrzekł Leonard spokojnie — niewątpliwie! Bo w tej chwili jesteś na najlepszej drodze, aby stać się wielkim wariatem.

— Jak to, panie — zawołał malarz — W żywe oczy mi to mówisz?

— Od ciebie zależy — rzekł złotnik — uniknąć niebezpiecznej alternatywy mego horoskopu i zostać dobrym artystą. Twoje rysunki i szkice zapowiadają żywą i bogatą fantazję, wielką siłę wyrazu i śmiałość planu. Przy takich pierwiastkach można wspaniałe gmachy wybudować. Zrzecz się tych wszystkich próżnych a przesadnych wymagań mody i oddaj się poważnym studiom. Pochwalam cię, że starasz się odtworzyć godność i prostotę starej sztuki niemieckiej; ale w tych usiłowaniach nawet unikaj niebezpiecznych skał, o które inni się rozbili. Trzeba głębokiego uczucia, du-

szy energicznej, aby się oprzeć zniewieściałym wpływom sztuki nowoczesnej, aby ująć ducha mistrzów dawnych i przeniknąć treść wewnętrzną ich obrazów; tym sposobem jedynie poczujesz, jak zapłonie w twym sercu ogień zapалу i stworzysz dzieła godne lepszego czasu. Ale dziś młodzi ludzie wyobrażają sobie, że, gdy namalują oblicza surowe, twarze łokciowe<sup>17</sup>, szaty wydęte i kanciaste oraz fałszywą perspektywę — wykonali dzieło na sposób dawnych mistrzów. Ci naśladowcy bez ducha i bez życia są podobni do chłopów, którzy w kościołach szepczą modlitwy łacińskie, nie rozumiejąc ich treści, choć melodię umieją powtórzyć.

Złotnik wypowiedział jeszcze niejedną rozsądną i niejedną podniosłą uwagę o sztuce i dał Edmundowi tyle dobrych wskazówek, że ten, zdziwiony, zapytał, jakim sposobem Leonard zdobył sobie tyle wiadomości, nie będąc sam malarzem i dlaczego żyje nie znany nikomu,

---

<sup>17</sup>łokciowy — tu: ogromny (od łokcia, dawnej miary długości). [przypis edytorski]



gdy mógłby potężnie wpływać na rozwój sztuki.

— Mówiłem ci już — rzekł złotnik tonem łagodnym i poważnym — że długie i nawet cudowne doświadczenie dało przenikliwość mojej władzy sądenia i memu spojrzeniu. Co do mego sposobu życia, to wiem, że wszędzie bym wyglądał dziwacznie, co wypływa nie tylko z mojej organizacji, ale też z poczucia pewnej potęgi, która się mieści we mnie, a wszystko to zamąciłoby mój spokojny żywot. Często myślę o człowieku, który mógłby być pod pewnymi względami moim przodkiem, a z którym utożsamiałem się tak doskonale co do ciała i ducha, że nieraz mi przychodzi osobliwa myśl, jakobym był nim samym. Ten, o którym mówię, był to Szwajcar, Leonard Turmhauser z Thurm, który, w r. 1582 żył tutaj na dworze elektora Jana Jerzego. Owymi czasy, jak to wiesz, każdy chemik był alchemikiem, a każdy astronom nazywał się astrologiem. Turmhauser był jednym i drugim. Rzecz pewna, iż dokonał rzeczy najdziwniejszych i że między in-

nymi odznaczył się jako znakomity lekarz. Miał jednak tę wadę, że wszędzie wystawiał na widok publiczny swoją naukę, że chciał się wtrącać do wszystkiego radą i czynem. Próżność ta obudziła przeciw niemu zazdrość i nienawiść; elektora zapewniano, że Turmhauser umie robić złoto, a on tymczasem, czy że nie znał tej roboty, czy też z innych powodów uparcie odmawiał zająć się tą sprawą. Wtedy nieprzyjaciele Turmhausera jęli szeptać elektorowi:

— Patrzcie, jaki to człowiek bezczelny! Chwali się wiedzą, której nie ma, oddaje się różnym złowrogim praktykom. Powinien zginąć haniebną śmiercią, jak Żyd Lippold.

Wiadomo, że Turmhauser był złotnikiem, a zaprzeczano mu wszelkiej nauki, której przecież dał dowody niezbite. Puszczono pogłoskę, że nie on sam ułożył, ale za pieniądze kupił mądre księgi i przepowiednie, które ogłosił.

Nienawiść, potwarz doszły do takiego stopnia, że, aby uniknąć losu Żyda Lippolda — Turmhauser musiał potajemnie uciec z kraju. Nieprzyjaciele jego mówili, jakoby miał przy-

stać do papistów<sup>18</sup>, ale to fałsz. Ukrył się w Saksonii i dalej prowadził swój zawód złotnika, nie wyrzekając się nauki.

Edmund czuł się mocno pociągniętym ku staremu złotnikowi, a ten mu się wywdzięczał zaufaniem i szacunkiem, nie tylko za pomocą poważnej krytyki, ale też ucząc go różnych tajemnic, znanych starym malarzom, co do wyrobu i mieszania farb.

Tak zadzierzgnął się między Edmundem i starym Leonardem związek w rodzaju tych, jakie się układają pomiędzy uczniem wielkich nadziei a mistrzem tkliwym i pobłażliwym.

W jakiś czas potem, pewnego wieczoru letniego, w parku radca Melchior Voswinkel nie mógł mimo starań zapalić żadnego ze swoich cygar; rzucał je na ziemię jedno po drugim i z gniewem krzyczał:

— O Boże, ileż to się nastarałem, ileż wydałem pieniędzy, aby te cygara sprowadzić z Hamburga! I oto mi się psuje ta miła przyjemność! Jakże teraz mógłbym się należycie przyglądać

---

<sup>18</sup>*papiści* (daw., pogardl.) — katolicy. [przypis edytorski]

pięknej naturze i pogрузić w użytecznych rozmyślaniach? To okropne!

Mówił niejako te słowa do Edmunda, który siedział koło niego, a którego cygaro paliło się żywo i radośnie. Jakkolwiek Edmund nie znał radcy, wyjął z kieszeni pudełko cygar i po przyjacielsku je przedstawił nieszczęśliwemu sąsiadowi, zapewniając go, że odpowiada za doskonałość tytoniu, choć ten nie pochodzi wprost z Hamburga.

Radca ożywił się nagle i pełny radości, wziął jedno z cygar, dziękując serdecznie i natychmiast je zapalił, z rozkoszą się przyglądając lekkim, srebrnym obłoczkom dymu, spiralnie w górę się unoszącym.

— O, drogi panie — zawołał — wyprowadzasz mnie z przykrego położenia. Dziękuję panu jeszcze sto razy i ośmielę się nawet być tyle bezczelnym, aby pana poprosić o drugie cygaro, kiedy to wypalę.

Edmund ofiarował mu do rozporządzenia swe pudełko i pożegnali się.

Artysta, zajęty pewnym pomysłem, który chciał namalować, przedzierać się zaczął przez tłum, aby swobodnie przebrnąć w pustszą aleję, gdy nagle radca znalazł się przed nim i pytał go życzliwie, czy nie zechciałby zasiąść z nim razem przy jednym stoliku.

Edmund już o mało co nie odmówił staremu, gdy przy stoliku, gdzie radca ofiarował mu miejsce, ujrzał młodą pannę zachwycającej piękności i wdzięku.

— To moja córka Albertyna — rzekł radca Edmundowi, który na nią spoglądał nieruchomy tak, że zapomniał się jej ukłonić. Poznał w Albertynie prześliczną osobę, którą rok temu widział na wystawie, gdy właśnie stała przed jednym z jego obrazów; wyjaśniała umiejętnie pewnej starszej damie i dwóm paniąkom, które jej towarzyszyły, znaczenie tego fantastycznego malowidła. Badała kolejno rysunek kompozycji, chwaliła autora tego dzieła i mówiła, że musi to być artysta pełen talentu i że byłaby rada go poznać. Edmund, stojąc za nią, rozkoszował się tymi pochwałami, wypowia-

danymi przez tak różowe usta. Serce drżało mu z trwogi i radości, i chciał się przedstawić jako twórca obrazu. W tej samej chwili Albertynie wypadła z dłoni rękawiczka. Edmund nachylił się, by ją podnieść, Albertyna podobniez — i oto uderzają się głowami; Albertyna wydaje okrzyk bólu.

Edmund cofa się przerażony, włązi na nogi małego psiaka, którego jakaś starsza dama prowadzi na sznurku, aż pies zaskowyczał; potem nasz artysta depta odciski jakiegoś tłustego profesora, który zaryczał okrutnie i do wszystkich diabłów posyła młodzieńca. Przybiegają ze wszech stron; wszystkie lornety skierowane są na biednego Edmunda, który, wśród skowytu pinczera<sup>19</sup>, przekleństw profesora, obelg starszej pani, szyderstwa panien — ucieka zawstydzony, gdy kilka kobiet śpieszy na pomoc Albertynie i pociera jej skronie wodą pachnącą.

W tym momencie krytycznym Edmund zakochał się, sam nie wiedząc jak i przykre uczu-

---

<sup>19</sup>*pinczer* — rasa małego psa. [przypis edytorski]

cie niezgrabności było mu jedyną przeszkodą, że nie poszukiwał panny po wszystkich krańcach miasta. Nie mógł jej sobie wyobrazić inaczej, jak z napuchniętym czołem i z gniewem na twarzy; ale tegoż wieczoru nikt by nie dostrzegł śladów tego zdarzenia. Co prawda Albertyna bardzo się zarumieniła i była wielce zmieszana na widok młodzieńca, ale gdy radca zapytał Edmunda o imię i stanowisko, panna z uśmiechem powiedziała, że rozpoznaje w nim świetnego artystę, którego rysunki i malowidła oglądała z głębokim wzruszeniem.

Można sobie wyobrazić żywe wrażenie, jakie te słowa wywarły na młodego malarza. W zachwycie chciał pannie złożyć tysiączne podziękowania, gdy nagle radca go zatrzymał i rzecze:

— A więc, mój drogi, gdzież to cygaro, któreś mi obiecał? — Po czym mówił dalej:

— A zatem jesteś malarzem i to dobrym malarzem, jak powiada moja córka, która się na tym zna doskonale. Raduje mnie to wielce; lubię malarstwo albo raczej sztukę, żeby powiedzieć jak moja córka Albertyna. Nie dam się

oszukać: jestem znawcą, prawdziwym znawcą obrazów i nikomu się nie uda zwieść mię, abym wziął Iksa za Ygreka. Powiedz mi szczerze, drogi artysto, pominąwszy wszelką niepotrzebną skromność, czy to nie ty jesteś owym zręcznym malarzem, którego obrazy co dzień, przechodząc, oglądam, a których świetne barwy codziennie podziwiam.

Edmund nie rozumiał dobrze, o jakich obrazach chciał mówić radca. Wreszcie, rozpytawszy się należycie, znalazł, że Melchior Voswinkel miał na oku po prostu tace lakowe, ekrany i inne tego rodzaju dzieła, które istotnie oglądał co rana z prawidłowym zachwytem, przechodząc obok wystawy bogatego magazynu Staubwassera. To właśnie uważał za doskonałą sztukę. Edmund nie bardzo czuł się pochlebiony podobnym komplementem i kłął radcę, który mu przeszkadzał rozmawiać z Albertyną. W końcu ktoś ze znajomych zbliżył się do radcy i wdał się z nim w długą rozmowę, z czego Edmund skorzystał, by się przybli-



żyć do Albertyny, która bynajmniej z tego nie była niezadowolona.

Wszyscy, którzy znają Albertynę, wiedzą, że jest to wcielenie młodości, wdzięku i piękności; że się ubiera ze smakiem według ostatniej mody, że śpiewa w Akademii Muzycznej, że brała lekcje fortepianu od najlepszych nauczycieli, że naśladować umie piruety najpierwszej tancerki, że potrafi kopiować kwiaty z doskonałą umiejętnością, że jest z natury wesoła i pełna równowagi. Każdy też wie, że nosi przy sobie mały sztambuch<sup>20</sup> w safianowej okładce, ze złotonymi brzegami i że wypisuje w nim sobie najpiękniejsze myśli, jakie znaleźć można w dziełach Goethego, Jean-Paula<sup>21</sup> i innych wybitnych pisarzy, i na koniec powszechnie wiadomo, że nie robi nigdy błędów gramatycznych.

Albertyna, siedząc obok pełnego zapału malarza, doznała wzruszenia daleko żywszego, niż

---

<sup>20</sup>*sztambuch* — rodzaj pamiętnika, do którego wpisują się znajomi. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>*Jean-Paul* — właśc. Johann Paul Friedrich Richter (1763–1825), pisarz, prekursor niemieckiego romantyzmu. [przypis edytorski]

je odczuwała w towarzystwie zwykłym i głosem melodyjnym szeptała miłe słowa.

Wiatr wieczorny zaczął szumieć, unosząc na skrzydłach zapach kwiatów. W gęstym gaju słowiki wyśpiewywały swoje tęsknoty miłosne. Wówczas Albertyna zaczęła mówić wiersz z poezji Fouqué'go<sup>22</sup>:

Szelesty i szumy wiosny  
Przez gajów płyną zagłusze:  
Niby sidła, żar miłosny —  
Pęta nam ciało i duszę.

Ośmielony ciemnością, Edmund ujął rękę Albertyny i przycisnął ją do serca, przy czym mówił dalej:

Gdym śpiewał, to, co tak rzewnie  
Wieści to życie serdeczne:  
Zda się w mą pierś wnikło śpiewnie  
Miłowania światło wieczne.

---

<sup>22</sup>*Fouqué, Friedrich* (1777–1843) — niemiecki pisarz epoki romantyzmu. [przypis edytorski]

Panna wyrwała mu rękę, ale po to tylko, by zdjąć rękawiczkę i dłoń obnażoną pozostawić szczęśliwemu Edmundowi, który już miał ją okryć pocałunkami, gdy naraz zbliżył się radca:

— Wieczór staje się chłodny; szkoda, że nie wziętem płaszcza lub okrycia; owiń się szalem, moja Albertyno! Jest to szal turecki, kochany panie malarzu, za który zapłaciłem pięćdziesiąt dukatów<sup>23</sup>. Owiń się nim i wracajmy. Do widzenia, drogi przyjacielu!

Edmund, kierowany delikatnym taktem, w tej chwili wyjął pudełko i ofiarował radcy nowe cygaro.

— Dzięki, dzięki po tysiąc razy — zawołał Mechior — jesteś niezmiernie uprzejmy. Policja nie pozwala w ogrodzie palić w czasie przechadzki, toteż cygaro wyda mi się tym lepsze.

Gdy radca zbliżał się do latarni, by zapalić cygaro, Edmund nieśmiało zapytał Albertynę, czy pozwoli sobie towarzyszyć. Wzięła go za ramię i oboje poszli razem, a gdy radca ich dogo-

---

<sup>23</sup>*dukat* — złota moneta bita w Europie do XIX w. [przypis edytorski]

nił, zdawałoby się, że przewidział, iż Edmund wraz z nimi pójdzie do miasta.

Ktokolwiek był młody i zakochany, albo jest jeszcze młody i zakochany — zrozumie, że Edmund, krocząc obok Albertyny, nie sądził, że jest w lesie, ale w najwyższych obłokach, koło jakiej istoty nadziemskiej.

Według Szekspirowskiej Rozalindy<sup>24</sup> oto z jakich cech można rozpoznać zakochanego: policzki obwisłe, oczy podsiniące, umysł roztrągniony, broda nieuczesana, podwiązki rozplątane, czapka na wywrót położona, rękawy niezapięte, trzewiki nie zasznurowane i rozpaczliwa niedbałość we wszystkich rzeczach.

Edmund nie objawiał tych wszystkich osobliwości, ale jak zakochany Orlando niszczył wszystkie drzewa, wypisując na ich korze imię Rozalindy, tak Edmund zmarnował niemało papieru, pergaminu, płótna, farb, aby opiewać swą ukochaną lichym wierszem i aby ją rysować i malować, nie dosięgając nigdy obrazu, jaki

---

<sup>24</sup>*Rozalinda* — bohaterka szekspirowskiej komedii *Jak wam się podoba*. [przypis edytorski]

widział w imaginacji. Ponieważ przy tym nieustannie ciężko wzdychał, zdarzyło się, że stary złotnik w krótkim czasie odkrył tajemnicę swego młodego przyjaciela. Na pierwsze zapytanie, Edmund natychmiast otworzył przed nim swe serce.

— Jak to — zawołał — czyżbyś o tym myślał naprawdę? Nie wolno kochać cudzej narzeczonej. Albertyna jest prawie zaręczona z sekretarzem tajnym Tussmanem.

Na tę okropną wiadomość Edmund wpadł w gwałtowną rozpacz. Leonard spokojnie oczekiwał, póki się jego paroksyzm<sup>25</sup> nie skończy i pytał go, czy poważnie marzy o małżeństwie z Albertyną. Edmund zapewniał, że to jego najgorętsze życzenie i błagał starego przyjaciela, aby ten całej swej potęgi użył, by mu dopomóc i usunąć sekretarza.

Złotnik mu odrzeczł, że za bardzo właściwe uważał, aby młody artysta był zakochany, co nie znaczy, aby myślał się żenić. Tak młody

---

<sup>25</sup>paroksyzm — wybuch, napad. [przypis edytorski]

Sternbald<sup>26</sup> nigdy się nie mógł na to zdecydować. Ta uwaga uderzyła Edmunda, który chętnie odczytywał *Sternbalda* Tiecka i bardzo by pragnął być bohaterem tego romansu.

— A więc dobrze! Niech będzie, co chce — rzekł w końcu złotnik — oswobodzę cię od twego rywala, a ty wciśniesz się do domu radcy i postarasz się przybliżyć do Albertyny. Moje operacje mogą jednak się zacząć dopiero w czas zrównania dnia z nocą.

Widzieliśmy, w jaki sposób złotnik zabrał się do rzeczy, aby usunąć sekretarza tajnego.

### ROZDZIAŁ III

Ze wszystkiego, co wiesz, drogi czytelniku, o prywatnym sekretarzu kancelarii Tussmanie, możesz sobie wyobrazić tego człowieka i jego manieri. Dodam, co się tyczy jego postaci zewnętrznej, że był to człowiek małego wzrostu, łysy, przygarbiony nieco i po prostu śmieszny.

---

<sup>26</sup>*Sternbald, Franz* — bohater powieści niemieckiego pisarza okresu romantyzmu Johanna Ludwiga Tiecka. [przypis edytorski]

Nosił surdut wycięty dawną modą, z połami<sup>27</sup> niepomiernej długości, nie mniej długą kamizelkę, szerokie spodnie, trzewiki skrzypiące jak buty robotnika, a ponieważ, zamiast kroczyć równym krokiem po ulicach, biegł w poskokach i w susach, poły surduta, wiatrem unoszone, latały jak skrzydła. Choć jego twarz była bardzo zabawna, poczciwy uśmiech, błędzący mu po ustach, wywoływał dla niego życzliwość i lubiono go w ogóle, pomimo jego pedantyzmu i niezgrabności. Jego namiętnością było czytanie: wychodząc z domu, zawsze miał kieszenie pełne książek; czytał wszędzie, gdzie się pokazał: na przechadzce, w kościele, w kawiarni; czytał bez wyboru wszystko, na co natrafił, aby tylko była mowa o dawnych czasach, bo nowych nie cierpiał. Tak jednego wieczoru na przykład czytał w kawiarni starą algebrę, nazajutrz regulamin kawalerii Fryderyka Wilhelma I<sup>28</sup>, potem cudowne dzieło p. t. *Cycero wy-*

---

<sup>27</sup>poła — jedna z dwóch dolnych części rozpinanego ubrania, takiego jak np. marynarka. [przypis edytorski]

<sup>28</sup>Fryderyk Wilhelm I (1688–1740) — król prusko-brandenburgski, członek dynastii Hohenzollernów. [przypis edytorski]

*obrażony w dziesięciu mowach, jako wielki gaduła i wielki blagier*, 1720. Tussman posiadał nadzwyczajną pamięć; notował zwykle wszystko, co go w książce uderzyło, potem odczytywał swe noty i nigdy ich nie zapominał. W ten sposób stał się polihistorem<sup>29</sup>, encyklopedią żywą, którą przerzuczał każdy, co potrzebował jakiejś informacji historycznej czy naukowej. Jeżeli się zdarzyło, że nie mógł dać natychmiast żądanej wiadomości, w tej chwili zaczynał poszukiwania po wszystkich bibliotekach, aż na koniec znalazł, o co mu chodziło i powracał z radością, przynosząc odpowiedź. Rzecz szczególna, że pozornie zaabsorbowany czytaniem, słyszał wszystko, o czym mówiono dokoła niego. Często się wtrącał do rozmowy z jakąś rozsądną uwagą, a jeżeli ktoś powiedział jakie słowo dowcipne lub zabawne, wówczas, nie podnosząc oczu od książki, przyklaskiwał głośnym śmiechem.

---

<sup>29</sup>*polihistor* — uczyony, człowiek posiadający wiedzę z wielu dziedzin. [przypis edytorski]



Radca Voswinkel był w szkole mnichów szarych z sekretarzem i od owych czasów dawała ich ścisła przyjaźń. Albertyna rosła w oczach Tussmana, a gdy miała lat dwadzieścia, przyniósł jej piękny bukiet i pocałował ją w rękę z galanterią, jakiej byś nie oczekiwał od niego. Od tego dnia radca postanowił ożenić swego starego kolegę z Albertyną; miał nadzieję, że Tussman zadowoli się skromnym posagiem<sup>30</sup> i w osiemnastą rocznicę urodzin córki objawił sekretarzowi projekt, który dotychczas utrzymywał w tajemnicy. Ten był przerażony słowami starego kolegi: nie śmiał oddać się zuchwalej myśli, by zawrzeć małżeństwo, a zwłaszcza z młodą panną. Z wolna jednak przywykł do tej idei i poczuł, jak serce mu zapłonęło gorącą miłością w dniu, w którym Albertyna ofiarowała mu sakiewkę wyhaftowaną własnoręcznie. Oświadczył wtedy radcy, że postanowił się ożenić, a ponieważ ten ucałował go, tytułując swym zięciem, poczciwy Tussman zaczął się

---

<sup>30</sup>*posag* — dobro materialne wnoszone przez żonę przy zawarciu małżeństwa.  
[przypis edytorski]

uważać za małżonka Albertyny, choć panna ani słowa o tym nie słyszała i nie miała najmniejszego przypuszczenia co do tych projektów.

Nazajutrz rano po owej nocy, kiedy sekretarza spotkała dziwna przygoda pod starą więź ratuszową i na placu Aleksandra, ten, blady i w bezładnych sukniach, przybył do swego starego przyjaciela. Radca był niemało przerażony na widok Tussmana, przybywającego tak wczesnym rankiem i postrzegając wyraz wstrząśnięć moralnych, na jego fizjonomii<sup>31</sup> odbity, zawołał:

— Drogi sekretarzu, skąd przychodzisz? Co znaczy ta przerażona twarz i co się zdarzyło?

Tussman rzucił się w fotel i po kilku minutach ciężkiego wzdychania, zaczął mówić drżącym głosem:

— Przyjacielu, jak mnie widzisz z tym ubraniem i *Traktatem Mądrości Politycznej* w kieszeni, przybywam z ulicy Szpandawskiej, po której tłukłem się całą noc od wczoraj. Nie wróci-

---

<sup>31</sup>fizjonomia — rysy twarzy, wygląd. [przypis edytorski]

łem do domu; nie widziałem swego łóżka; nie zamknąłem oka.

Wówczas Tussman zaczął opowiadać wszystko, co mu się nocy poprzedniej wydarzyło, począwszy od pierwszego spotkania z bajecznym złotnikiem, aż do chwili, w której uciekł z winiarni, przerażony wszystkim, co się tam działo.

— Mój drogi sekretarzu — rzekł radca — wbrew przyzwyczajeniu piłeś za dużo i miałeś sny dziwadlane!

— Jak to? — zawołał Tussman — więc ci się zdaje, że spałem, że roilem? Czy myślisz, że nie wiem, co to jest sen, a co marzenie? Mogę ci rozwinąć teorię Nudowa co do snu — i dowieść, że można spać bez marzeń; dlatego Hamlet mówi: Spać, może marzyć! Co do widzeń sennych, to wiedziałbyś w tym przedmiocie tyleż, co ja, gdybyś był czytał *Somnium Scipionis*<sup>32</sup> oraz sławne dzieło Artemidora<sup>33</sup> o marzeniach i *Księgę snów* wydaną we Frankfurcie.

---

<sup>32</sup>*Somnium Scipionis* (łac.) — *Sen Scypiona*, fragment szóstej księgi *De Re Publica* Cyserona, przedstawiający wizję zaświatów. [przypis edytorski]

<sup>33</sup>*Artemidor z Efezu* — gr. filozof z II w. p.n.e. [przypis edytorski]

Ale ty nie czytasz nic i zawsze wydajesz fałszywe sądy.

— No, no — rzekł radca — uspokój się; wierzę ci, że wpadłeś wczoraj w ręce jakichś szarlatanów<sup>34</sup>, którzy sobie zadrwili z ciebie i zabawili się tobą, ale powiedz mi, dlaczego opuściwszy winiarnię, nie wróciłeś do domu raczej, zamiast włóczyć się całą noc po ulicach?

— Drogi radco! — zawołał sekretarz tajny — drogi towarzysz ze szkoły mnichów szarych, nie obrażaj mej boleści obelżywym zwątpieniem; ale dowiedz się, że ta diabelska przygoda w najlepszy sposób rozwijała się dalej, kiedy byłem na ulicy. Podszedłszy do ratusza, ujrzałem wszystkie okna oświetlone, usłyszałem odgłos tańca i wesołą muzykę z towarzyszeniem bębna janczarskiego. Nie wiem, jak się to stało, że choć nie jestem wysokiego wzrostu, jednak stanąwszy na palcach, zdołałem rozróżnić widowisko, odbywające się wewnątrz budynku. Cóżem obaczył, Stwórco niebieski!? Córka twoja, panna Albertyna, przybrana w świet-

---

<sup>34</sup>szarlatan — oszust. [przypis edytorski]

ny strój weselny tańczyła szalenie z jakimś młodzieńcem. Uderzam w okno i wołam: „Czcigodna panno Albertyno, co czynisz, o czym myślisz w tej godzinie?” W tej samej chwili jakaś istota ohydna wchodzi z ulicy Królewskiej, w biegu odrywa mi nogi od ciała i ucieka z wybuchami śmiechu. Ja, nieszczęsny sekretarz prywatny, upadłem w błoto i krzyczę: „Straże nocne, łucznicy policyjni, patrole przeznaczne — przybywajcie, przybywajcie na pomoc! Zatrzymajcie nędznika, co mi ukradł nogi!” Ale naraz wszystko pociemniało i zamilkło w Ratuszu, a mój głos przepada w powietrzu. Gdy zaś ja tonę cały w rozpacz, widziadło ukazuje się powtórnie i nogi w twarz mi ciska. Powstaję i pędzę w ulicę Szpandawską. I otóż, gdy chcę klucz włożyć we drzwi swego domu, widzę samego siebie, tak, samego siebie przed sobą; patrzę na siebie tymi samymi wielkimi, czarnymi oczami, jakie mam pod rzęsą — cofam się ze zgrozą — i wpadam na człowieka, który mnie

obejmuje mocną ręką. Z halabardy<sup>35</sup> w jego rękach, poznaję, że to strażnik nocny: „Ach, mój miły człowieku, mówię, uczyn mi tę przyjemność i przepędź tego łajdaka, sekretarza tajnego Tussmana, abym ja, prawdziwy, uczciwy Tussman, mógł wejść do swego mieszkania”.

— Zdaje mi się, żeś dostał bzika — odpowiada mi ten człowiek głosem bezdźwięcznym; i poznaję straszliwego złotnika. Zgroza mnie ogarnęła i zimnym potem zrosiło się me czoło: „Mój szanowny profesorze — rzekłem mu drżąc — wybacz mi, jeżeli w ciemności wziąłem cię za stróża nocnego. Nazywaj mnie, jak chcesz; mów „panie Tussman” po prostu albo nawet „mój kochany”; traktuj mnie jako służbę, zniosę wszystko; tylko błagam cię, uwolnij mnie od tego czarnoksiężstwa, które tej nocy rzuciłeś na mnie”.

— Tussman — odparł mi ten złowrogi czarownik — unikniesz na zawsze tego rodzaju przypadków, jeżeli mi przysięgniesz natychmiast,

---

<sup>35</sup>*halabarda* — broń drzewcowa, dziś służy jedynie jako broń reprezentacyjna.  
[przypis edytorski]

że się wyrzekasz swego małżeństwa z Albertyną.

Możesz sobie wyobrazić, drogi radco, co za wrażenie wywołały we mnie te okropne słowa.

— Szanowny profesorze — odparłem — do krwi ranisz mi serce. Walc jest to taniec nieprzyzwoity, a panna Albertyna, moja narzeczona, walcowała z jakimś nieznanym młodzieńcem w sposób taki, że traciłem zmysły. A przecież nie mogę się jej wyrzec, nie, nie mogę!

Zaledwie wyrzekłem te słowa, gdy przeklęty złotnik uderzył mnie tak gwałtownie, że zacząłem się kręcić dokoła samego siebie. Pchany jakąś niezwalczoną siłą, bez wytchnienia tańczyłem walca w ulicy Szpandawskiej i trzymałem w ręku brudną miotłę, która mi twarz drapała, gdy psy niewidzialne szarpały mi grzbiet, a tysiące sekretarzy Tussmanów kręciło się dokoła mnie z miotłami w rękach. Na koniec upadłem bez przytomności. Gdy zaczynało świtać i gdym oczy otworzył, wyobraź sobie moje przeżenie, siedziałem na koniu statuy wielkiego

elektora, z głową opartą o zimne piersi ze spiżu. Szczęściem, straż była uśpiona, tak że mogłem zejść niepostrzeżony, lecz bądź jak bądź, mogłem kark złamać. Uciekłem wtedy w stronę ulicy Szpandawskiej, a jakiś przestrah niewytłumaczony pociągnął mnie ku tobie.

— Nie sądzisz chyba, drogi sekretarzu — rzekł radca — abym mógł uwierzyć w twoje wszystkie szaleństwa. Czy kto słyszał o takich czarodziejskich sztukach w naszym, tak oświeconym mieście?

— A więc — widzisz, drogi przyjacielu, jaki popełniasz błąd, że nic nie czytasz. Gdybyś tylko czytał, jak ja, *Microchronicon Marchicum* Haftitiusa, rektora dwóch szkół w Berlinie i w Kolonii, to byś wiedział, że bywało tu i wiele innych rzeczy. Ostatecznie, skłonny jestem do wiary, że złotnik to diabeł we własnej osobie, który mnie prześladowuje i dręczy.

— Proszę cię, drogi sekretarzu, oszczędź mi tych dziecinnych guślarstw; uspokój się i wyznaj, żeś pił nieco za wiele i że w stanie pod-



chmielonym wlaźeś na konia wielkiego elektora.

Sekretarz, słysząc to podejrzenie, zaczął płakać i wszelkimi siłami starał się je rozproszyć.

Radca przybrał minę poważniejszą, a ponieważ jego przyjaciel nieustannie dowodził, że wszystko odbyło się tak właśnie, jak on to opowiedział, rzekł wreszcie:

— Słuchaj, im bardziej rozmyślam nad tym, co mi tu opowiadasz o złotniku i starym Żydzie, z którymi całą noc przepędziłeś na pijaństwie, wbrew swoim trzeźwym i skromnym obyczajom, tym bardziej zdaje mi się pewnym, że ów Żyd to mój stary Manasse, a złotnik — to zapewne Leonard, który czasami bywa w Berlinie. Nie czytałem tyle książek, co ty, ale to nie jest konieczne, aby wiedzieć, że ci dwaj twoi nieznajomi, są to ludzie prości i poczciwi, którzy nie uprawiają żadnych sztuk czarnoksięskich. Dziwię się, jak ty, przy swojej znajomości prawa, zapominasz o tym, że wszelka operacja magiczna jest surowo zakazana i że tu w Berlinie rząd nie ścierpiałby żadnego czarownika.

Słuchaj, kochany kolego, nie chcę przystać na podejrzenie, jakie budzi się we mnie, ale mimo woli przypuszczam, że się chcesz wycofać z małżeństwa z moją córką i wymyśliłeś sobie całą tę fantasmagorię<sup>36</sup>, aby móc mi powiedzieć:

— Drogi radco, musimy się rozłączyć, bo jeżeli się z twoją córką ożenię, to diabeł ukradnie mi nogi i grzbiet mi rozszarpie. Źle by było z twojej strony, gdybyś mnie chciał zwieść w ten sposób.

To nowe podejrzenie wyprowadziło sekretarza z równowagi. Ze łzami w oczach przysięgał, że kocha pannę Albertynę miłością nieskończoną; że jak Leander<sup>37</sup>, jak Troilus<sup>38</sup> umarłby dla niej i przystałby na wszelkie męczeństwo, nie wyrzekając się nigdy swego uczucia.

Gdy Tussman powtarzał swe zaklęcia, uderzono we drzwi i stary Manasse wszedł do po-

---

<sup>36</sup>*fantasmagoria* — iluzja, złudzenie. [przypis edytorski]

<sup>37</sup>*Leander* (mit. gr.) — kochanek poświęconej bogom Hero, co noc przepływał dla niej cieśninę Hellespont, kierując się na zapaloną przez nią lampę; utonął pewnej burzliwej nocy, gdy lampa zgasła. [przypis edytorski]

<sup>38</sup>*Troilus* (mit. gr.) — książę Troi, syn Priama, zakochany w Kressydzie, symbol wierności. [przypis edytorski]

koju. Zaledwie Tussman go zobaczył, krzyknął:

— Ojczye niebieski! Toż to ów stary Żyd, co robił sztuki złota z czarnej rzodkwi. Drugi czarownik pewnie jest niedaleko.

Mówiąc te słowa, miał się ku drzwiom, aby uciec. Radca go zatrzymał i mówi:

— Obaczmyż, co on nam powie. — Poczym, zwracając się do Manassego, powtórzył mu opowiadanie Tussmana. Manasse w sposób szczególny uśmiechnął się i odpowiedział:

— Nie wiem, czego ten pan sobie życzy; przyszedł wczoraj wraz ze złotnikiem Leonar-dem do winiarni, gdzie piłem spokojnie szklan-kę wina po ciężkiej pracy całodziennej; pił nad miarę tak, że nie mógł ustać na nogach i wyszedł chwiejąc się niepewnie.

— Widzisz, mój miły! — zawołał radca. — Mówiłem ci, że wszystkie te zdarzenia pochodzą z twego przekłętego pijaństwa, z którego musisz się poprawić, jeżeli chcesz poślubić moją córkę.

Biedny sekretarz, zniweczony tym zarzutem niezasłużonym, padł nieruchomo na fotel, zamknął oczy i szeptał jakieś niezrozumiałe wyrazy.

— Oto, co się z nimi dzieje — rzekł radca — piją przez całą noc, a potem są bez siły i bez rozumu.

Pomimo wszelkich zapewnień Tussman musiał pozwolić, że mu głowę obwiązano ręcznikiem i że go dorożką odwieziono do domu.

— Cóż nowego? — zapytał radca starego Żyda.

Manasse przybrał minę uśmiechniętą i odparł, że radca ani przypuszcza, jakie szczęście go czeka.

Wobec nalegań radcy Żyd powiedział, że jego siostrzeniec Benjamin Dümmerl, młodzieniec piękny, posiadacz pół miliona, odznaczony przez dwór wiedeński tytułem barona dla usług, jakie mu oddał, wrócił świeżo z Włoch, że gorąco się zajął panną Albertyną i prosi o jej rękę.

Często widać młodego barona w teatrze, gdzie się ukazuje w pierwszej loży; jeszcze częściej bywa na koncertach. Każdy wie, że jest wysoki, chudy jak szczapa, że na żółtej twarzy ma włosy kędzierzawe i brodę czarną, że zawsze jest ubrany według najdziwaczniejszej mody krawców angielskich; mówi wielu językami akcentem niemieckim, rzępoli na skrzypcach, dudni na fortepianie, kuje nędzne wiersze, sądzi malarstwo bez smaku i znajomości, udaje dowcipnego i w głupocie swej wyrokuje o wszystkim; słowem, według opinii ludzi rozsądnych, jest to figura nie do wytrzymania. Nadto, pomimo wielkiej fortuny, myśli tylko o gromadzeniu pieniędzy i ci nawet, co zazwyczaj plackiem padają wobec bogatych, uciekają od niego.

Radcę w pierwszej chwili olśniło pół miliona siostrzeńca Manassego; ale wnet przyszły mu na myśl rozmaite przeszkody, czyniące proponowany mu związek — niemożliwym.

— Mój drogi Manasse — rzekł — zapominasz, że twój szanowny siostrzeniec jest starej wiary<sup>39</sup> i że...

— Ach, cóż to znaczy? — odparł Żyd. Mój siostrzeniec jest zakochany w córce pana radcy; chce ją uszczęśliwić a parę kropel wody nie przestraszy go. Pomyśl o tym interesie, panie radco; za parę dni przyjdę z moim baronkiem po odpowiedź ostateczną.

Manasse się oddalił.

Radca dalej rozważał. Ale pomimo chciwości i słabości charakteru nie mógł się zdecydować na małżeństwo swej córki z tym Żydem. W porywie lojalności postanowił dotrzymać słowa staremu koledze.

## ROZDZIAŁ IV

W jakiś czas po zaznajomieniu się z Edmudem w ogrodzie botanicznym, Albertyna zauważyła, że portret ojca zawieszony w jej pokoju był zupełnie niepodobny i namalowany bardzo nieosobliwie. Wykazała panu radcy, że

---

<sup>39</sup>jest starej wiary — wyznaje judaizm. [przypis edytorski]

w istocie był on daleko młodszy i przystojniejszy, niż go wyobraził malarz; ganiła ponury wyraz twarzy, przestarzały kostium, którym portrecista przybrał Melchiora; ganiła bukiet róż, trzymany w palcach, ozdobionych pierścieniami diamentowymi.

Tak długo przemawiała, że radca w końcu sam znienawidził swój portret i nie rozumiał, jakim sposobem niezręczny artysta mógł do tego stopnia wykrzywić jego miłą osobę; im bardziej obserwował portret, tem bardziej się w nim budził wstręt do tej ordynarnej roboty. Wreszcie kazał go zdjąć i pomieścić na strychu.

Albertyna uważała, że portret na lepsze miejsce nie zasługuje; jednakże tak nawykła widzieć w swym pokoju twarz ojca, że ta naga ściana burzyła spokój jej serca. Nie było innego środka, jak raz jeszcze zamówić portret kochanego ojca i poprosić o to umiejętnego artystę, a nie masz teraz lepszego malarza, niż młody Edmund, który wykonał tyle dzieł znakomych.

— Córko moja, córko — zawołał radca.  
— Ci młodzi artyści są tak pełni dumy i tak się cenią, że za najmniejszą pracę nie lękają się żądać sum niesłychanych.

Albertyna zapewniła, że Lehsen pracował raczej przez zamiłowanie, niż z konieczności i nie będzie zbyt wymagający. Słowem tak przekonała starego, że radca postanowił zwrócić się do młodego malarza.

Można sobie wyobrazić radość, z jaką Edmund przyjął zrobioną mu propozycję i jakiego doznał uczucia, gdy się dowiedział, że to Albertyna sama namówiła ojca, aby go wybrał dla tego portretu. Naturalna więc rzecz, że widząc niepokój radcy co do wymaganej ceny, Edmund zawołał, że nie chce żadnego wynagrodzenia, gdyż czuje się aż nadto szczęśliwy, że będzie mógł użyć swych pędzli do malowania człowieka tak wybitnego, jak pan radca Vowsinkel.

— Wielki Boże — rzekł zdumiony radca — cóż to ja słyszę, drogi panie Edmundzie? Jak



to, żadnego wynagrodzenia! Nawet fryderyksdora<sup>40</sup> za płótno i farby?

Edmund opowiedział z uśmiechem, że to drobnostka, o której nie ma potrzeby mówić.

— Ale — rzekł radca głosem słodkawym — pan może nie wie, że tu idzie o portret wielkości naturalnej?

— Nic to nie znaczy — odparł Edmund.

Na te słowa radca rzucił się w ramiona młodego malarza i ze łzami rozrzewnienia w oczach mówił:

— Ojczyźnie Niebieski! Więc jeszcze są na tym złym świecie dusze tak szlachetne i tak podniosłe! Dajesz mi swoje cygara, potem robisz mój portret! Jesteś doskonałym młodzieńcem, albo, by rzec lepiej, jesteś człowiekiem podniosłym. W tobie żyje cnota i poczciwość niemiecka dawnych czasów, o czym mówią tradycje. Ale wierz mi, choć jestem radcą i choć noszę się po francusku, potrafię ocenić szlachetność

---

<sup>40</sup>fryderyksdor (z fr. *le Frédéric d'or*) — złota moneta pruska, będąca w obiegu w okresie 1741–1855. [przypis edytorski]

twego ducha i mogę się pokazać nie mniej szlachetnym jak ty, Edmundzie!

Zręczna Albertyna przewidziała, co się stanie. Jej zamiary się urzeczywistniły. Radca bez wytchnienia wysławiał młodzieńca i jego bezinteresowność. Mówił, że młodzi ludzie, a zwłaszcza malarze, mają w umyśle coś fantastycznego i romantycznego, z czego wynika, że tyle wartości przypisują kwiatom powiędłym, wstążkom noszonym przez młodą pannę lub jakiejś robótce, wykonanej ładnymi jej rączkami. Pozwolił Albertynie haftować dla Edmunda małą sakiewkę, do której miałyby dodać loczek swoich jasnych włosów; wystarczyło to, aby uszczęśliwić młodego artystę, a radca zobowiązał się całą sprawę objaśnić sekretarzowi Tussmanowi.

Albertyna, która jeszcze nic nie wiedziała o projektach swego ojca, nie rozumiała, dlaczego ten mówił o Tussmanie i nie zwróciła na to uwagi.

Tegoż wieczora Edmund kazał przynieść do domu radcy stawidło<sup>41</sup> i farby, i nazajutrz zaczęto pierwsze posiedzenie.

Prosił radcę, aby ten uniósł się myślą w najszczęśliwszy moment swego życia, jak na przykład kiedy jego nieboszczka żona przysięgła mu wieczną miłość, albo kiedy przyszła na świat Albertyna, albo kiedy zobaczył naraz<sup>42</sup> przyjaciela, którego miał za utraconego...

— Stój! — zawołał radca. — Mniej więcej trzy miesiące temu otrzymałem list z Hamburga, donoszący mi, że wygrałem znaczną sumę na tamtejszej loterii. Z otwartym listem w ręku pobiegłem do swej córki: nigdy nie miałem słodszy momentu w życiu. Wybierzmy ten moment i aby to było jak najoczywistsze dla wszystkich, wezmę ten list i tak go trzymać będę w ręku, jak go trzymałem wówczas.

Edmund zmuszony był malować radcę z tym listem, na którym wyraźnie czytano: „Mam zaszczyt zawiadomić W Pana, że... itd.”.

---

<sup>41</sup>*stawidło* — tu: sztaluga. [przypis edytorski]

<sup>42</sup>*naraz* (daw.) — nagle. [przypis edytorski]

Na małym stoliku, postawionym obok, radca położył kopertę, na której był napis:

Edmund miał nie zapomnieć w obrazie swoim odtworzyć tej koperty wraz ze stemplem pocztowym. Wymalował człowieczka tłuściutkiego, jowialnego<sup>43</sup>, dobrze ubranego, który miał niejaki podobieństwo z radcą, tak, że czytając adres listu nie omyliłbyś się nigdy co do osoby, wystawionej<sup>44</sup> na tym portrecie.

Radca był zachwycony.

— Widać z tego — mówił — jak umiejętny artysta zręcznie uchwyci to, co w fizjonomii<sup>45</sup> jest najprzyjemniejszego i z portretu umie zrobić obraz historyczny.

Ilekcroć teraz spoglądał na swe oblicze, przypominał sobie szczęśliwy dzień, w którym wygrał na loterii i przybierał uśmiechnięty wyraz na twarzy rozlany.

Zanim Albertyna wypowiedziała to życzenie, radca prosił artystę, aby namalował także portret córki. Edmund natychmiast zabrał się

---

<sup>43</sup>jowialny — pogodny, żartobliwy. [przypis edytorski]

<sup>44</sup>wystawiony — dziś: przedstawiony. [przypis edytorski]

<sup>45</sup>fizjonomia (daw.) — twarz. [przypis edytorski]

do roboty; ale ten portret nie postępował tak szybko i nie udawał się tak dobrze, jak portret ojca.

Edmund rysował i ścierał, rysował znowu, zabierał się do malowania, zmieniał postawę. Już to światło było zbyt błyszczące, już to zbyt ciemne, tak że radca wreszcie stracił cierpliwość i zaprzestał bywać na posiedzeniach.

Edmund przychodził pracować rano i wieczór, a jeżeli portret mało co posuwał się naprzód, to wzamian za to stosunki młodego malarza z Albertyną z dnia na dzień lepiej się utrwały.

Niewątpliwie, drogi czytelniku, doświadczyłeś sam na sobie, że kto jest zakochany, ten, aby więcej siły nadać swoim zaklęciom, przemówieniom i westchnieniom, musi brać za rękę tę, którą kocha, przyciskać ją do serca i całować. Można powiedzieć, że jakiś pierwiastek elektryczny pociąga usta ku ustom i że ten pierwiastek objawia się w słodkich ogniach pocałunku. Nie było też nic dziwnego, że Edmund

dość często opuszczał swoje malowidło, aby użyć tego serdeczniejszego środka rozmowy.

Pewnego dnia był z Albertyną około okna i aby dać, jak powiedzieliśmy, więcej wagi swoim słowom, nieustannie zbliżał do ust rękę panny.

W tej samej godzinie i w tym samym momencie sekretarz Tussman przechodził koło domu radcy, niosąc w kieszeni *Mądrość polityczną* i inne książki w pergamin oprawne, a łączące przyjemność z pożytkiem.

Choć według zwyczaju posuwał się w skokach, gdyż zbliżała się godzina, o której miał być w biurze, zatrzymał się na chwilę i rzucił spojrzenie ku oknu swej narzeczonej.

Zobaczył wtedy, niby w obłoku, Edmunda i Albertynę: nie mógł jasno ich rozróżnić, ale czuł, że mu serce uderza, nie wiadomo dlaczego. Niepokój osobliwy wywołał w nim postanowienie niespodziane, aby wstąpić do radcy w godzinie niezwykłej i iść wprost do Albertyny.

W chwili, gdy wchodził do pokoju, Albertyna mówiła bardzo wyraźnie:

— Tak, Edmundzie, kochać cię będę wiecznie — wiecznie! — I wymawiając te słowa, przyciskała młodzieńca do łona, a snop iskier rozlewał się z pierwiastku elektrycznego, o którym była mowa.

Sekretarz prywatny machinalnie ruszył naprzód; stanął nieśmiały, nieruchomy — w środku pokoju — jakby uderzony katalepsją<sup>46</sup>.

W upojeniu radości zakochani nie słyszeli głośnego skrzypienia butów sekretarza ani też zgrzytu drzwi, które się otwarły.

Naraz falsetem przemówił głos:

— Ależ panno Albertyno!

Kochankowie przerażeni rozłączyli się. Edmund pobiegł ku stawidłu, Albertyna zaś siadła na fotel, na którym miała siedzieć dla pozowania.

— Ależ, panno Albertyno — rzekł, tchu nabierając, radca — co ty robisz? Co ty sobie

---

<sup>46</sup>*katalepsja* — zeszywnienie mięśni, zaburzenie ruchu ciała. [przypis edytorski]

myślisz? Naprzód tańczysz walca z młodzieńcem, którego nie mam zaszczytu znać, tańczysz o północy w Ratuszu w taki sposób, że ja tracę rozum; potem w jasny dzień znajduję cię u okna... O, sprawiedliwy Boże, jest-że to zachowanie uczciwe dla narzeczonej?

— Któż tu jest narzeczoną? — zawołała Albertyna. — O kim pan mówi, panie sekretarzu prywatny? Odpowiadaj.

— O, Stwórco nieba — rzekł z jękiem Tusman — pytasz mnie jeszcze, szlachetna panienko, o kim ja mówię? O kimże, jeżeli nie o pani? Czyliż nie jesteś moją tkliwą, czcigodną narzeczoną? Twój szanowny ojciec czyż mi nie obiecał tej pięknej rączki, tak białej i tak miłej do całowania?

— Panie sekretarzu — odparła rozdrażniona Albertyna — albo już pan pił w szynkowni<sup>47</sup>, którą zbyt często odwiedzasz, o ile mam wierzyć ojcu, albo też jesteś ofiarą szczególnego

---

<sup>47</sup>szynkownia — daw. podrzędna restauracja. [przypis edytorski]



obłądu. Niepodobna<sup>48</sup>, by mój ojciec pomyślał nawet o tym, by ci ofiarować mą rękę.

— Droga panno Albertyno — odparł sekretarz — pomyśl sobie: znasz mnie od dawna, czyż nie byłem zawsze człowiekiem trzeźwym i rozważnym, i czy mógłbym naraz oddać się pijaństwu i szaleństwu? Droga panno, zamknę oczy, zamilczę o tym, co widziałem, zapomnę o wszystkim; ale pomyśl, że mi dałaś swe przyzwolenie dziś o północy w starym Ratuszu i chociaż tańczyłaś walca tej nocy z tym młodym człowiekiem, to jednak...

— Ależ panie — zawołała Albertyna — pan bredzi jak człowiek, który uciekł z domu obłąkanych! Idź sobie — boję się pana! Idź sobie, mówię, i daj mi pokój.

Oczy biednego Tussmana zapełniły się łzami.

— O, Boże sprawiedliwy! — szeptał — Widzieć się traktowanym w ten sposób przez swoją zachwycającą narzeczoną! Nie, ja nie odej-

---

<sup>48</sup>*niepodobna* (daw.) — nieprawdopodobne, niemożliwe. [przypis edytorski]

dę! Zostanę, póki nie oddasz sprawiedliwości mojej nędznej osobie.

— Wynoś się pan! — zawołała głucho Albertyna, uchodząc na drugi koniec pokoju.

— Nie — odparł sekretarz. Podług mądrych przepisów Tomasiusa powinienem zostać i zostanę tu, dopóki...

Tu rzucił się w pościgu za Albertyną. Edmund, szalonym gniewem przejęty, suwał tymczasem pędzłami po swym płótnie. Wreszcie nie mógł wytrzymać:

— Przeklęty szatanie! — zawołał i poskoczywszy ku Tussmanowi, dwa lub trzy razy pociągnął po jego twarzy pędzlem, przesyconym zielonymi kolorami, po czym otworzył drzwi i gwałtownym uderzeniem wyrzucił go za drzwi jak strzałę.

Radca wracał do siebie w chwili, kiedy jego stary kolega, tak poplamiony farbami, wpadł mu w ramiona.

— Co za twarz! — zawołał. — Co ci się stało?

Sekretarz, zdumiony jeszcze tylu zdarzeniami, opowiedział mu w przerywanych słowach, jak go potraktowała Albertyna i jak go obraził Edmund.

Radca, zasmucony i rozdrażniony, wziął go za rękę, wprowadził go z powrotem do pokoju Albertyny i zawołał do córki:

— Cóż to ja słyszę? Czego się dowiaduję? W takiż to sposób traktuje się narzeczonego?

— Narzeczonego! — zawołała przerażona panna.

— A więc tak, twego narzeczonego — mówił dalej radca. — Nie wiem, dlaczego zdajesz się tak wzburzona sprawą, którą ja zdecydowałem od dawna. Mój stary przyjaciel jest twoim narzeczonem i za parę tygodni odprawimy wesoło twoje zaślubiny.

— Nigdy! — zawołała Albertyna. — Nigdy nie wyjdę za pana sekretarza tajnego! Jakże mogłabym kochać tego starca?

— Cóż ty mówisz o kochaniu, cóż ty mówisz o starcu? Tu jest sprawa nie miłości, ale małżeństwa. Co prawda, mój towarzysz nie jest

już lekkim młodzianem, doszedł on, tak jak ja, wieku, który słusznie nazywa się najlepszym. To chłopiec uczciwy, skromny, wykształcony, miły, a przede wszystkim mój kolega.

— Nie! — rzekła Albertyna, łkając gwałtownie. Ja go nie znoszę, ja go nie cierpię, ja czuję wstręt do niego. O, mój Edmundzie!...

Mówiąc te słowa, panna, niemal zemdlna, upadła w ramiona Edmunda, który ją przycisnął do serca.

Radca przetarł sobie oczy, jakby spostrzegł jakieś zmory i zawołał:

— Czy to możliwe? Co ja widzę?

— Tak — rzekł sekretarz płacząco — panna Albertyna zdaje się bardzo mało troszczyć o mnie i przeciwnie objawia nader żywą skłonność do tego młodego malarza; nie waha się go całować, gdy mnie biedakowi odmawia tej ręki, na której bym chętnie pomieścił pierścień zaręczynowy.

Radca chciał wyrwać Albertynę z ramion Edmunda, ale ten zawołał, że nie puści jej nigdy, choćby miał za to życiem zapłacić.

— Dobrze — powiedział radca z goryczą — dobrze, mój paniczu, teraz wiem, skąd wypływała twoja bezinteresowność. Chciałeś się dostać do mego domu i uwieść moją córkę! Czy sądzisz, że mógłbym oddać swą córkę tak miżernemu nędzarzowi, bazgraczowi?

Rozdrażniony tymi obelgami Edmund porwał swoją podpórkę i podniósł do góry, gdy naraz zabrzmiał u drzwi potężny głos Leonarda:

— Zatrzymaj się, Edmundzie! Żadnych gwałtów! Voswinkel szaleje; oprzytomnieje niedługo.

Radca, przerażony tem nagłym zjawieniem, odpowiedział z kąta, w którym się ukrył:

— Nie rozumiem, czego pan tu sobie życzy!

Sekretarz na widok złotnika ukrył się za sofą i szeptał, pełny niepokoju:

— O, Boże niebieski! Czuwaj nad sobą, kochany radco! Nic nie mów, stary kolego! Wielki Boże, toż to profesor, to straszliwy inicjator balu na ulicy Szpandawskiej.

— Zbliż się, Tussman — rzeki złotnik ze śmiechem — zbliż się, niczego się nie lękaj. Dość jesteś ukarany za swe szaleństwo, że się chciałeś ożenić, bo przez całe życie zachowasz twarz na zielono!

— Wielki Boże! — krzyknął sekretarz, tracąc władzę nad sobą — przez całe życie twarz na zielono! Co o tym ludzie powiedzą? Co o tym powie Jego Ekscelencja pan minister? Czyż nie będzie sądził, że ja przez jakąś głupią próżność sam się tak umalowałem? Jestem człowiek zrujnowany! Utracę posadę, bo Państwo nie może trzymać sekretarza kancelarii tajnego z twarzą zieloną! O, jakże jestem nieszczęśliwy!

— Dalej, dalej! — odparł złotnik — Nie lamentujże tak srodze. Jest jeszcze ratunek, jeżeli się zgodzisz być rozsądnym i jeżeli się zrenunciesz idei poślubienia Albertyny.

— To być nie może... to być nie powinno — wykrzyknęli naraz sekretarz i radca.

Złotnik rzucił w obu płomiennym wzrokiem; już miał gniewem wybuchnąć, gdy naraz drzwi się otwarły i stary Manasse wszedł

ze swym siostrzeńcem, baronem Benjaminem Dümmerlem. Baron poszedł wprost ku Albertynie, która go nigdy w życiu nie widziała i rzekł, biorąc ją za rękę:

— Oto jestem, panno Albertyno! Przycho-  
dzą sam rzucić się pani do nóg, to znaczy, po-  
rozumiejmy się, baron Dümmerl przed nikim  
do nóg nie upada, nawet przed Jego Cesarską  
Mością. Przycho-  
dzą prosić o pocałunek.

Co rzekłszy, podszedł ku niej blisko i po-  
chylił głowę. W tej samej chwili odbyła się prze-  
miana, która, z wyjątkiem złotnika, wywołała  
u wszystkich zdumienie:

Nos barona Benjaminą wydłużył się na-  
raz tak daleko, że omal nie uderzył w ścianę.  
Benjamin cofnął się o parę kroków i nos się  
zmniejszył; zbliżył się do Albertyny, znów nos  
stał się kolosalny — rzekłbyś ruch trombonu.

— Przeklęty czarownik! — zawołał Ma-  
nasse, rzucając radcy sznur. Chwyć pan ten sznur,  
zwiąż nim złotnika, wyciągnij go na podwórze  
i wszystko się skończy!

Radca wziął sznur, ale zamiast go rzucić w złotnika, trafił w Żyda i szyję mu obwiązał i natychmiast obaj zaczęli unosić się w górę od podłogi do powały<sup>49</sup> i spuszczać się z powały na podłogę, gdy nos Benjamina rósł bezustannie, a Tussman śmiał się jak obłąkany.

— Teraz — rzekł Manasse zatrzymawszy się — teraz zabierzmy się do roboty. I przeszkawszy kieszeń, wyjął z niej wielką mysz, która się rzuciła na złotnika; ale ten ją uderzył złotą igłą i mysz zniknęła, wydając pisk żałosny.

Manasse podniósł pięść przeciw radcy i krzyknął w gniewie:

— Melchiorze, spisek zrobiłeś przeciw mnie wraz z tym nędznym czarownikiem, którego wciągnąłeś do swego domu. Ale będziesz przeklęty wraz z całym swoim potomstwem i będziecie wytępieni, jako pisklęta opuszczonego ptaka; trawą zarośnie twoja siedziba, a wszystkie twe przedsięwzięcia będą jako sen głodnego, któremu się roi, że się nasycy, a który się budzi, trawiony brakiem jada. Dałeś zamiesz-

---

<sup>49</sup>*powala* — warstwa desek służąca za sufit. [przypis edytorski]



ka w twoim domu i pochłonie twoje dobro. Obdartymi łachmanami przybrany, żebrać będziesz u progu synów tego ludu bożego, którymi gardzisz, a którzy cię odepchną jako psa chorego na nosaciznę. Przeklęty, przeklęty bądź, radco Melchiorze Voswinkel!

Rzekłszy te słowa, szybko opuścił izbę wraz ze swym siostrzeńcem.

Albertyna stała pełna trwogi, głowę oparłszy o łono Edmunda; złotnik się przybliżył do młodej pary i rzekł z uśmiechem:

— Niech was te szaleństwa nie wytrącają z równowagi. Wszystko będzie dobrze, odpowiadam wam za to; ale trzeba, abyście się rozłączyli, zanim radca i sekretarz oprzytomnieją z przerażenia. — I odszedł wraz z Edmudem.

## ROZDZIAŁ V

Radcę bardziej uderzyły klątwy Manassego niż czarnoksięskie sztuczki złotnika. Klątwa ta była istotnie okropna, gdyż zapowiadała radcy obecność Dałesa.

Nie wiem, drogi czytelniku, czy słyszałeś o tym, co Żydzi nazywają Daśes.

Żona pewnego biednego Żyda, tak mówi Talmud<sup>50</sup>, znalazła raz na strychu swego domku człowieka zupełnie nagiego, wyschniętego jak szkielet bez ciała, który ją prosił, by udzieliła mu schronienia i posiłku. Kobieta z trwogą zeszła po drabinie i mówi do męża:

— Człowiek nagi i głodny wszedł do naszego domu i prosi, by mieć nad nim litość. Ale jakże karmić tego obcego, gdy my sami z takim trudem zarabiamy na swe nędzne życie?

— Pójdę na górę — rzekł mąż — i pomyślę o środkach, by się go pozbyć. „Po co — rzekł obcemu — przyszedłeś schronić się u mnie, który jestem biedny i pozbawiony możliwości karmienia ciebie? Wstań i idź do domu bogatego, gdzie znajdziesz obfitą żywność i wspa-  
niałe uczyty”.

— Jak to — odparł nieznajomy — chcesz mnie wygnać z kryjówki, którą znalazłem? Wi-

---

<sup>50</sup>*Talmud* — w judaizmie komentarz do *Tory* (tj. do pierwszych pięciu ksiąg *Biblii*). [przypis edytorski]

dzisz, że jestem nagi; nie mógłbym tak wejść do domu bogatego. Każ mi zrobić odpowiednie ubranie, a ja cię opuszczę.

Lepiej, pomyślał Żyd, użyć tej odrobiny, jaka mi została, dla usunięcia stąd tego człowieka, niż go tu zatrzymać i widzieć, jak pożera wszystko, co zarabiam z takim trudem. Zabił ostatnie ciele, którym myślał długo jeszcze żywić siebie i żonę, i kupił dla nieznajomego ubranie. Ale gdy poszedł do niego z ową szatą, człowiek ten, rano jeszcze tak mały i wychudły, stał się wielki i mocny, i ubranie było dla niego za ciasne. Biedny Żyd wpadł w rozpacz na widok tej przemiany, a nieznajomy powiada:

— Wyrzecz się szalonej myśli, że mógłbyś mnie stąd wygnać, gdyż dowiedz się: jestem Daśes.

Biedny Żyd załamał ręce i zaczął wydawać okrzyki rozpacz.

— Boże moich ojców — zawołał — jestem różgą gniewu Twego ukarany. Jeżeli ty jesteś Daśes, to już nie odejdiesz i rosnać będziesz

póty, póki nie pozresz wszystkiego w moim domu.

Dałeś — to nędza, która wszedłszy raz gdziekolwiek, już tego domu nie opuści i coraz bardziej się rozrasta.

Jeżeli radca bał się przekleństwa Manassego, lękał się też starego Leonarda, który miał tyle czarów na usługi i którego widok budził szczególną trwogę. Ponieważ nie mógł napaść na tych dwóch ludzi, cały jego gniew spadł na Edmunda, któremu przypisywał wszystko, co się stało. Albertyna jeszcze powiększyła jego irytację, oświadczając, że kocha młodego malarza nade wszystko i nie zgodzi się nigdy wyjść za mąż za pedanta Tussmana ani za nieznośnego barona.

Radca napisał do Edmunda list, w którym całą swoją złość wytoczył i ostatecznie zakazał mu na zawsze przestępować próg swego domu.

Wieczorem Leonard, odwiedzwszy według zwyczaju młodego artystę, znalazł go w niezmiernej rozpacz.

— I cóż teraz — wołał Edmund — cóż mi z twej pomocy, cóż mi z tego, żeś oddalił mych współzawodników? Twoje sztuki magiczne rzuciły przestach wszędzie i postawiłeś mi na drodze przeszkody nie do przebycia. Z sercem rozdartym opuszczę kraj, pojedę do Rzymu.

— A więc — rzekł złotnik — działając w ten sposób uczynisz właśnie to, czego pragnąłeś. Przypomnij sobie, że gdyś mi po raz pierwszy mówił o swej miłości do Albertyny, powiedziałem ci, że według mnie młody artysta powinien być zakochany, ale nie natychmiast myśleć o małżeństwie. Przedstawiłem ci wtedy półzartem przykład młodego Sternbalda; jeżeli chcesz zostać godnym chwały malarzem, wyrzecz się wszelkiej myśli o małżeństwie. Jedź do ojczyzny sztuk, studiuj z zapalem pomniki — a wtedy osiągniesz talent rzeczywisty, wykonawszy dzieło, które ci zdoła tutaj wyrobić imię.

— Ach — odparł Edmund — jakież popełniłem szaleństwo, żeś mi powierzył swe uczu-

cia! Widzę, że ty, od którego czekałem skutecznej pomocy, że ty właśnie działasz przeciw mnie i masz przyjemność w burzeniu moich najśłodszych nadziei.

— Młodzieńcze — rzekł złotnik — pomiarkuj swe wyrażenia; bądź mniej gwałtowny i pomyśl, żeś za mało doświadczony, aby przeniknąć moje zamiary. Ale ja ci przebaczam przez szacunek dla twojej miłości.

— Gdybym miał możliwość zaślubienia Albertyny — odparł malarz — gdybym był z nią zaręczony, pojechałbym do Włoch; przepędziłbym tam rok jeden studiów i powróciłbym rozradowany do tej, którą kocham.

— Jak to, Edmundzie? — zawołał złotnik — Czyż to naprawdę twój projekt?

— Niewątpliwie — odpowiedział malarz. — Miłość, jaką czuję dla Albertyny, nie zagaściła we mnie zapału do sztuki.

— Czy możesz mi dać słowo — rzekł Leonard — że gdy przyrzeczoną ci będzie ręka Albertyny, natychmiast pojechałbyś do Italii?

— Tak, to jest moje postanowienie i wykonam je, co bądź się stanie.

— A zatem — rzekł złotnik wesoło — nabierz odwagi. To postanowienie zapewnia ci narzeczoną. Daję ci słowo, że za parę dni Albertyna będzie ci zaręczona. Jestem w możności to uczynić, nie wątp w to.

Radość i zapał błysły w oczach Edmunda i złotnik się oddalił, pozostawiając swego młodego przyjaciela w najrozkoszniejszych oczekiwaniach. —

W oddalonej części parku sekretarz kancelarii siedział pod wielkim drzewem, jak rycerz raniony, który opowiada swe cierpienia niewiernym podmuchom jesieni.

— O, Boże sprawiedliwy! — wołał — Niešťczęśliwy sekretarzu tajny, czymże to zasłużyłeś na obelgi, jakich doznałeś?

Czyż Tomasius nie mówi, że małżeństwo nie jest bynajmniej przeszkodą ku osiągnięciu mądrości? A przecież, odkąd zacząłeś myśleć o małżeństwie, utraciłeś prawie wszystką jasność swej inteligencji! Z czegoż wynika ten

wstręt, jaki miła panna Albertyna odczuwa względem twej osoby, obdarzonej tak chwalebnyymi zaletami? Czy jesteś politykiem, który zenić się nie powinien, czy też jurystą<sup>51</sup>, który według zasad Kleobula uważa za swój obowiązek bić żonę, ilekroć ta jaki błąd popełni? O sprawiedliwe nieba, co za klęska! Czemu, drogi sekretarzu tajny, musisz być w wojnie otwartej przeciw czarnoksiężnikom, którzy twą zacną twarz biorą za płótno i mażą ci ją bezwstydnym pędzlem, nieprzyzwoicie i haniebnie! O, to straszliwe nieszczęście! Miałem jeszcze ufność w mego przyjaciela Strecciusa, wielkiego chemika; ale wszystkie jego wysiłki były bezużyteczne. Im bardziej twarz myję wodą, którą mam od niego, tym bardziej staję się zielony, choć ta zieloność zmienia ciągle ton i moja twarz kolejno wyobraża barwy wiosny, lata i jesieni. Tak, ten fatalny kolor doprowadzi mnie do zniszczenia i jeżeli mnie zima nie pobieli, to żywot mój skończy się! Oddaję się rozpaczycy i rzucam się do sadzawki.

---

<sup>51</sup>*jurysta* (daw.) — prawnik. [przypis edytorski]



Tussman słusznie bardzo żalił się w ten sposób. Barwa jego twarzy nie była wcale zwykłym kolorem: był to rodzaj malowidła wciśniętego w skórę. We dnie nie miał odwagi wychodzić inaczej, jak wciskając kapelusz na czoło i zakrywając sobie twarz chustką; wieczorem pędził po ulicach galopem, gdyż lękał się naraz szyderstwa dzieci i spotkania jakiego urzędnika ze swego biura, w którym się nie pokazywał pod pozorem choroby.

Zdarza się często, że odczuwamy silniej nasze cierpienia w milczeniu nocy, niż wśród wrzawy dnia; a im gęstsze były chmury, im żałośniej wichur jesienny wzdychał w lesie, tym Tussman mocniej odczuwał ciężar swej nędzy. Straszliwa myśl, by położyć koniec swemu nieszczęsnemu żywotowi i rzucić się w sadzawkę, opanowała go z taką mocą, że ją uważał jako głos przeznaczeń.

— Tak — zawołał drżącym głosem, wstając z pod drzewa — tak, biedny sekretarzu tajny, oto koniec twój nadszedł, żaden Tomasius nic ci nie pomoże. Giń, dobry Tussmanie! Że-

gnaj, okrutna Albertyno! Nie zobaczysz już nigdy narzeczonego, któregoś odepchnęła tak bezlitośnie.

Rzucił się w stronę sadzawki, którą przy mdłym oświetleniu zmierzchu widział w pobliżu i zatrzymał się u brzegu. Myśl o bliskiej śmierci zapewne pomieszała mu rozsądek, gdyż zaczął śpiewać ten refren piosenki angielskiej: „Zielone są łąki, zielone są łąki!” Potem rzucił w wodę *Mądrość polityczną, Podręcznik dworski i Sztukę przedłużenia życia* Hufelanda. Zamierzał teraz iść śladem swoich ukochanych książek, gdy poczuł, że go zatrzymuje naraz jakieś mocne ramię.

W tej samej chwili usłyszał głos przeklętego złotnika, który mówił:

— Tussmanie, co robisz? Proszę cię, nie oddawaj się tak swemu szaleństwu!

Sekretarz starał się użyć wszystkich sił, aby się wyrwać z ramion złotnika; mówił mu:

— Panie profesorze, jestem w ostatniej rozpacz i wszystkie moje wahania się kończą. Proszę cię, profesorze, przebacz nieszczęsnemu se-

kretarzowi prywatnemu, który zna wymagania światowe. Jestem zrozpaczony i powiem bez obwijania w bawełnę: chciałbym, aby diabeł cię porwał wraz z twymi wszystkimi czarodziejstwami.

Złotnik puścił sekretarza, który upadł bez duszy na wilgotny trawnik.

Sądząc, że już jest w wodzie, Tussman zawołał:

— O, wierna śmierci! O, zielona łąko! Żegnaj, panno Albertyno. Żegnaj, czcigodny radco! Nieszczęsny narzeczony jest pośród żab, które sławią Pana w dni letnie.

— Uważaj, Tussman — rzekł złotnik — tracisz rozum i jesteś w stanie godnym litości. Chciałeś mnie tylko co wysłać do piekła. Co byś rzekł, gdyby ci tu sam diabeł kark złamał?

Tussman jęczał, wzdychał, febra<sup>52</sup> trzęsła całym jego ciałem.

— Ale — mówił dalej złotnik — ja nie jestem zły i przebaczam ci twoje rozpaczne okrzyki. Wstań i idźmy stąd.

---

<sup>52</sup>*febra* (daw.) — gorączka. [przypis edytorski]

Złotnik pomógł sekretarzowi się podnieść, ten zaś mruczał:

— Jestem w twojej mocy, wielce szanowny profesorze. Z ciałem mym uczyn, co zechcesz, ale oszczędź moją duszę.

— Nie bredź — rzekł złotnik, biorąc sekretarza za ramię i poprowadził go ze sobą. Naraż się zatrzymał i rzecze:

— Jesteś cały zamoczony, pozwól, że ci przynajmniej twarz wytrę. — To mówiąc, pociągnął białą chustką po jego twarzy.

Ujrzawszy poprzez drzewa światła kawiarni Webera, Tussman z przerażeniem zawołał:

— W imię Boga, dokąd mnie prowadzisz? Przez litość, nie idźmy w tłum, nie mogę się pokazać; moja obecność wywołałaby skandal.

— Nie wiem, co znaczy twój wstręt do ludzi. Musisz koniecznie wypić szklanekę ponczu, inaczej z zimna dostaniesz febry. Choć ze mną.

Na próżno sekretarz lamentował, mówiąc wciąż o swojej twarzy zielonej; złotnik żadnej uwagi nie zwracał na jego słowa i ciągnął go z siłą nieodpartą. Wchodząc do sali i spostrze-

głszy parę osób przy stole, Tussman zakrył sobie twarz chustką.

— Po cóż ta przezorność? Masz uczciwe oblicze.

— Ach, Boże! — zawołał sekretarz — ty wiesz, mój czcigodny profesorze, jak to w gniewie — młody malarz pozielenił mi twarz.

— Co za szaleństwo! — odparł złotnik, ciągnąc z siłą sekretarza przed zwierciadło, w którym się odbijało światło lamp.

Tussman spojrział w zwierciadło i wydał okrzyk niespodzianej radości.

Nie tylko okropna barwa zielona, którą go zachlapano, zniknęła, ale twarz Tusmana była pokryta kolorytem żywszym, tak, iż zdawał się odmłodzony. W uniesieniu Tussman podskoczył do góry i zawołał głosem rozrzewnionym:

— Co widzę, dostojny, doskonały profesorze! Tobie zawdzięczam tę szczęśliwość; teraz panna Albertyna, dla której chciałem się utopić w stawie, nie odmówi już mi ręki i za małżonka mię przyjmie. Tak, wyrwałeś mnie

z okropnej rozpaczy. Jesteś moim zbawcą, moim dobroczyńcą...

— Nie zaprzeczę — odparł złotnik — że ja to ci starłem ten zielony kolor z twarzy i widzisz stąd, że nie jestem ci bynajmniej tak nieprzyjazny, jak, zdaje się, przypuszczałeś. Potępiam tylko szaloną myśl, jaką powziąłeś na skutek propozycji pana radcy, że chcesz zaślubić młodą pannę. Ale nie chcę bynajmniej burzyć twych projektów, chcę tylko radzić ci, abyś nie czynił żadnych starań kolo panny Albertyny, aż do przyszłej niedzieli w południe: wówczas dowiesz się reszty. Jeżelibyś próbował zobaczyć się z nią przedtem, to ci tak każę zatańczyć, że oszalejesz; zmienię cię w żabę, strącę cię na dno sadzawki parkowej, gdzie będziesz siedział do końca życia. Żegnaj. Pewna sprawa wzywa mnie do miasta; nie możesz iść za mną. Do widzenia.

Złotnik słusznie powiedział, że Tussman nie może iść za nim, gdyż oddalił się, jakby miał buty siedmiomilowe. Po chwili wpadł jak widmo do izby pana radcy i surowym głosem po-

wiedział mu: „Dobry wieczór!” Radca, przerażony tym zjawieniem, próbował nabrać ducha i pytał złotnika, po co przybywa do niego tak późno, prosząc go, aby się zechciał wycofać i nie rozpoczynał znów swego kuglarstwa<sup>53</sup>.

— Oto jacy są ludzie — odrzekł spokojnie Leonard — a zwłaszcza radcy! Odpychają tych właśnie, do których by powinni mieć jak najwięcej zaufania. Grozi ci, drogi przyjacielu, wielkie nieszczęście i śpieszę do ciebie wśród nocy, aby ci dać dobrą radę i odwrócić cios, który może cię złamać.

— O Boże! — zawołał radca wystraszony — czy mi chcesz donieść jeszcze o jakim bankructwie w Hamburgu, w Bremie, w Londynie? Czyż jestem człowiek zrujnowany? O, nieszczęście!

— Nie — odparł złotnik — idzie tu o coś zupełnie innego. Nie chcesz oddać Edmundowi ręki Albertyny?

---

<sup>53</sup>*kuglarstwo* — żonglerka, magiczne sztuczki. [przypis edytorski]

— Jak to! — zawołał radca — Znów zaczynasz te głupie propozycje? Ja miałbym wydać córkę za jakiegoś żebraka bazgracza?

— A jednak — rzekł złotnik — bardzo dobrze odmalował i ciebie, i twoją córkę.

— Ach, ach! — odsarknął radca — to byłby ładny targ! Córka za dwie malowanki! Odesłałem mu te nędze.

— A więc, jeżeli mu nie dasz Albertyny, Edmund się zemści.

— Chciałbym też wiedzieć, jak ten cygan, ten smarkacz, mógłby się zemścić nad radcą komisyjnym Melchiorem Voswinklem?

— Powiem ci zaraz, szanowny panie radco. Edmund z lekka twój portret przemaluje. Zamiast uśmiechniętego wyrazu twarzy da ci rysy wykrzywione, minę ponurą, oczy przygasałe, wargi obwisłe. Narysuje mocniej zmarszczki na ustach i na czole, i nie zapomni licznych siwych włosów, które ukrywasz tak starannie. Zamiast miłego listu, który cię zawiadamia o wygranej na loterii, da ci do ręki ten, który otrzymałeś wczoraj, a który ci donosi o ban-



kructwie domu Campbell i Sp. Na kopercie napisze: Chybionemu radcy Dworu i t. d....; albowiem przed sześciu miesiącami na próżno się starałeś o uzyskanie tego tytułu. Z twoich kieszeni dziurawych wylatywać będą dukaty, papiery skarbowe, symbol wszystkich strat, jakie cię dotknęły. Portret wystawiony będzie u handlarza obrazów w pobliżu Banku.

— Do tysiąca diabłów! — zawołał radca. — Niechże spróbuje czegoś podobnego. Sąd i policję zawezwę na pomoc.

— Ale — odparł złotnik z tym samym spokojem — w ciągu kwadransa pięćdziesiąt osób zobaczy ten portret, a w niedługim czasie opowiadać sobie o nim będą w najrozmaitszy sposób w całym mieście! Wszystkie śmieszności, wszystkie głupstwa, jakie ci przypisują, odtworzone będą w daleko żywszej barwie. Ktokolwiek cię napotka, śmiać się będzie z ciebie w oczy i co gorsza, mówić będą wciąż o twoich stratach z powodu bankructwa domu Campbell — i będzie to klęska dla twego kredytu.

— O Boże! — zawołał radca — nędznik jutro o samym świcie musi mi oddać płótno!

— A gdyby ci oddał, o czym wątpię, na cóż ci się to przyda? Wyrzyje cię, jak mówiłem, na płycie miedzianej, odbije w setkach egzemplarzy i roześle do wszystkich wielkich miast handlowych, do Hamburga, do Bremy, do Lubecki, do Londynu.

— Ach, dosyć, dosyć! — zawołał radca. — Powiedz temu człowiekowi, daj mu pięćdziesiąt, a nawet sto dukatów, aby się wyrzekł tej okropnej myśli.

— Ha, ha! — rzekł ze śmiechem złotnik. — Zapominasz, że Lehse nie potrzebuje pieniędzy, że jego rodzice są zamożni i że ciotka od dawna zabezpieczyła mu fortunę, która wynosi osiemdziesiąt tysięcy dukatów.

— Jak to — zawołał zdumiony radca — osiemdziesiąt tysięcy dukatów?... Słuchaj, panie Leonardzie, mnie się zdaje, że moja Albertyna jest bardzo zakochana w młodym malarzu. Jestem dobrym człowiekiem, tkliwym ojcem rodziny, który nie umie się opierać łzom

ani błaganiom; zresztą Edmund mi się podoba, jest to dzielny artysta, a ja jestem wielkim miłośnikiem sztuki. Ten kochany Edmund ma wielkie zalety... osimdziesiąt tysięcy dukatów!... Tak jest, Leonardzie, z dobroci serca oddaję swą córkę temu wybornemu chłopcu.

— Teraz — przemówił złotnik — muszę ci opowiedzieć zabawną historię. Wracam z parku. Koło wielkiego stawu spotkałem twego starego przyjaciela i kolegę, sekretarza Tussmana, który, zrozpaczony niechęcią Albertyny, chciał się rzucić w wodę. Z wielkim trudem odradziłem mu jego ohydny projekt, mówiąc, że ty ściśle dotrzymujesz słowa i że dzięki swej powadze rodzicielskiej namówisz Albertynę, aby jego rękę przyjęła. Jeżeli cofasz to postanowienie, jeżeli Albertynę wydajesz za Edmunda, biedny sekretarz na pewno popełni samobójstwo. Pomyśl, co za wrzawę wywoła taka rzecz. Każdy uważać cię będzie za zabójcę Tussmana i patrzyć będzie na ciebie z głęboką pogardą. Już cię nikt nie zaprosi na obiad, a kiedy wejdiesz do jakiej kawiarni, by się dowiedzieć, co sły-

chać nowego, wyrzucą cię za drzwi. Więcej jeszcze, wiadomo, że sekretarz jest bardzo ceniony przez swoich naczelników; jego praca ma dobrą opinię we wszystkich biurach. Jeżeli ludzie uwierzą, że skutkiem twojej niesłowności, skutkiem twojej niestanowczości, doprowadziłeś tego nieszczęśliwca do samobójstwa, to nigdy w życiu już nie będziesz przyjęty nie tylko w domu radcy legacyjnego albo radcy finansowego, ale nawet u najmniejszego urzędnika. Żaden człowiek, z którym dotychczas prowadziłeś jakieś sprawy, nie będzie się tobą zajmował. Od wysokich urzędników aż do najprostszych woźnych, wszyscy będą ci ubliżać i nikt nie zdejmie przed tobą kapelusza. Tytuł radcy komisyjnego będzie ci cofnięty; doznawać będziesz poniżenia za poniżeniem, kredyt twój upadnie do szczytu, twoje majątkości będą ze wszech stron szturmowane i chylić się będziesz w dół coraz niżej a niżej, aż w końcu runiesz w nędzę i w hańbę.

— Dość, dość! — zawołał radca — męczysz mnie. Któżby uwierzył, że sekretarz w swoim

wieku popełniłby takie szaleństwo? Ale to słuszną rzecz, co bądź się stanie, muszę słowa dotrzymać: inaczej byłbym człowiekiem zgubionym. Tak, to postanowione, sekretarz otrzyma rękę Albertyny.

— Ale zapominasz — rzekł złotnik — o prośbie barona Benjamina i o przekleństwie starego Manassego. Jeżeli wzgardzisz siostrzeńcem tego Żyda, masz w nim straszliwego wroga, wroga, który cię wciągnie we wszystkie swoje spekulacje, który się nie cofnie przed żadnym środkiem, co by ci odebrał kredyt, który korzystać będzie z każdej sposobności, aby ci szkodzić i który nie spocznie, póki cię nie zrujnuje, nie zniszczy, póki Dałes, którego wezwał, nie osiedli się rzeczywiście w twoim domu. Słowem, w jakikolwiek sposób rozporządziłbyś córką, zawsze wpadniesz w ciężkie położenie i oto dlaczego wydajesz mi się człowiekiem nieszczęśliwym i godnym pożałowania.

Radca biegał wzdłuż i wszerz po swoim pokoju, wołając:

— Jestem zgubiony, jestem zrujnowany! O, gdybym przynajmniej nie miał córki! Niech diabeł porwie ich wszystkich, Edmunda, Benjamina i sekretarza!

— No, no — rzekł złotnik — jest jeszcze droga ocalenia.

— Jaka? — zawołał radca, zatrzymując się nagle — Jaka? Podpisuję wszystko.

— Czy widziałeś w teatrze *Kupca weneckiego*<sup>54</sup>? W tej właśnie sztuce nasz aktor Devrient gra okrutnego Żyda, imieniem Shylok, który ma wielką chęć krajać żywe mięso kupieckie.

— Oczywiście, widziałem tę sztukę. Ale do czego to prowadzi?

— Jeżeli znasz *Kupca weneckiego*, musisz pamiętać, że jest tam pewna dziewczyna bogata, Porcja, której ręka została niejako puszczo-  
na w loterię rozporządzeniem testamentu jej ojca. Przynoszą trzy skrzynki i każdy z konkurentów ma jedną z nich wybrać i otworzyć. Ten, co wybiera skrzynkę, w której się mieści

---

<sup>54</sup>*Kupiec wenecki* — komedia Williama Shakespeare'a, powstała między 1596 a 1598. [przypis edytorski]

portret Porcji — staje się narzeczonym. Uczyn jak ojciec Porcji; powiedz trzem współzawodnikom, że ponieważ wszyscy trzej są ci jednakowo drodzy — powierzasz losom ich żądania. Ten otrzyma rękę Albertyny, który wybierze skrzynkę z portretem panny.

— Co za szczególny pomysł! — zawołał radca — a gdybym przystał, czy sądzisz, że by mi się to na co zdało i że nie wystawiłoby mię również na nienawiść tych, których los odtrąci?

— Pozwól, pozwól, panie radco. Przyrzekam ci uroczyście tak przysposobić skrzynki, że wszyscy będą zadowoleni. Ci, którzy nie dostaną portretu, znajdą, jak książę marokański i książę aragoński<sup>55</sup>, w dwóch innych skrzyneczkach coś, co im się bardzo spodoba tak, że zapomną o małżeństwie z Albertyną. Więcej nawet, uważać cię będą za człowieka, któremu są winni głęboką wdzięczność.

— Czyż to możliwe? — zawołał radca.

---

<sup>55</sup>książę marokański i książę aragoński — drugoplanowe postaci z *Kupca weneckiego*. [przypis edytorski]

— Nie tylko możliwe — odparł złotnik — ale pewne; daję ci słowo.

Radca już się nie wahał i postanowił działać zgodnie z planem Leonarda, i obaj się umówili, że w następną niedzielę sprawą będzie wykonana.

Złotnik zapowiedział, że sam przyniesie trzy skrzynki.

## ROZDZIAŁ VI

Albertyna była w rozpacz, kiedy jej radca powiedział o nieszczęsnej loterii, którą postanowiono urządzić; ale bezużyteczne były wszystkie jej łzy i błagania. Była też wielce rozgniewana z powodu obojętności Edmunda; nie pokazywał się wcale i nie starał się rozmawiać z nią o swej miłości. W wigilię<sup>56</sup> niedzieli wyrocznej Albertyna siedziała wieczorem w swym pokoju. Oddana myślom o grożącym jej niebezpieczeństwie, pytała sama siebie, czy nie lepiej byłoby uciec z domu ojcowskiego, niż być skazaną na poślubienie pedanta sekretarza lub ohydne-

---

<sup>56</sup>w wigilię — w przeddzień. [przypis edytorski]



go barona. Zaczęła tedy marzyć o tajemniczym złotniku i o jego czarodziejstwach, i oto w sercu jej przebudziła się nadzieja; gdyż pewnym jej się zdało, że Leonard nie opuści Edmunda w chwili krytycznej. Poczwała naraz żywe pragnienie rozmowy ze złotnikiem i w chwilę potem złotnik ukazał się przed nią. Powiedział jej głosem łagodnym i pełnym powagi:

— Drogie dziecko, zbądź się smutku i troski; dowiedz się, że Edmund, którego jak ci się zdaje, kochasz dzisiaj, jest pod moją opieką i że będę mu pomagał ze wszystkich sił. Dowiedz się, że ja to podsunąłem twemu ojcu myśl loterii, że ja to przygotowałem cudowne skrzynki i że nikt inny, tylko Edmund wybierze tę, w której znajduje się twój portret.

Albertyna wydała okrzyk radości. Złotnik mówił dalej:

— Mógłbym być znaleźć inny sposób uzyskania twej ręki dla Edmunda, ale rozgniewałbym mocno jego dwóch rywali.

Albertyna rozplynęła się w podziękowaniach. Wzięła za rękę Leonarda, przycisnęła ją do ser-

ca i zapewniła go, że pomimo jego czarownictwa, patrzy na niego bez trwogi: po czym naiwnie go pytała, kim jest.

— Ach, drogie dziecko — rzekł złotnik z uśmiechem — byłoby mi bardzo trudno powiedzieć ci, kto jestem. Podobny jestem do wielu ludzi, którzy lepiej wiedzą, za kogo ich biorą, niż kim są rzeczywiście. Uważ, że wiele osób uznaje mnie za złotnika Leonarda, który w XVI w. żył w wielkiej estymie<sup>57</sup> na dworze elektora Jana Jerzego i który, ścigany zawiścią i nienawiścią, zniknął nie wiadomo jak. Zrozumiesz łatwo, ilem wycierpiał skutkiem tego przypuszczenia ze strony uczciwych mieszczan i negocjantów, którzy mnie traktują jako ducha fantastycznego i starają się moje życie uczynić możliwie najbardziej gorzkim. Chociaż zjawiam się wszędzie jak prawdziwy *Deus ex machina*<sup>58</sup>, wielu ludzi nie może mnie znosić, ponieważ wątpią nawet o moim rzeczywistym istnieniu. Aby

---

<sup>57</sup>*estyma* (daw.) — poważanie, szacunek. [przypis edytorski]

<sup>58</sup>*Deus ex machina* (łac.) — bóg z maszyny (pojawiający się na scenie teatru, by radykalnie zmienić przebieg akcji dramatu), w przenośni: wybawiciel. [przypis edytorski]

się ochronić od tych wszystkich niedowierzań, nie wyznałem nigdy, że jestem złotnikiem szwajcarskim Leonardem i bardzo wiele osób przystało na to, że jestem po prostu człowiekiem zręcznym i że magia naturalna daje mi wszystkie środki działania. Nabierz więc odwagi, drogie dziecię; jutro rano przystrój się w swą najpiękniejszą suknię, włosy upleć starannie w warkocze i czekaj spokojnie a cierpliwie na to, co ma nastąpić.

To rzekłszy, złotnik zaraz zniknął.

W niedzielę o godzinie oznaczonej przybył stary Manasse ze swoim zachwycającym siostrzeńcem, sekretarz prywatny oraz Edmund ze złotnikiem. Zalotnicy, nie wyłączając próżnego barona, byli zdumieni widokiem Albertyny, która im się nigdy nie wydała tak piękna. Przy tym bardziej niż wytworność sukni i fryzury, podnosił jej piękność promień miłości i nadziei, który lśnił w jej oczach i barwił jej jagody<sup>59</sup>.

---

<sup>59</sup>jagody — policzki. [przypis edytorski]

W napadzie szczodrobliwości radca kazał przygotować wspaniałą ucztę.

Gdy zaprosił Manassego do stołu, można było czytać w oczach Żyda tę odpowiedź Shyloka:

Tak, wąchać zapach świniny; dotykać  
Zwierzęcia, w którym umieścił wasz pro-  
rok

Nazaretański — złośliwą moc czarta —  
Mogę — by z wami gadać i handlować:  
Lecz jeść — pić — modlić się z wami —  
nie mogę!

Baron mniej na to zwracał uwagi. Jadł nie-  
pomierne i gadał bez końca.

Radca, pozwoliwszy sobie na szczodrobli-  
wość nadzwyczajną, bez miary rozlewał w kie-  
liszki wino Porto, Maderę i nawet Malagę, prze-  
chowywaną w piwnicy od lat stu. Po śniadaniu  
zapowiedział konkurentom, w jaki sposób ma  
być zdecydowane małżeństwo jego córki. Ten

będzie miał prawo zaślubić Albertynę, który wybierze skrzynkę z jej portretem wewnątrz.

W południe salę otwarto i spostrzeżono stół pokryty pięknie haftowanym dywanem, a na nim trzy skrzynki.

Pierwsza była złota: na pokrywie był wieńiec z dukatów, a w środku napis:

„Ten, co mnie wybierze, będzie miał szczęście według pragnienia swej duszy”.

Druga skrzynka była srebrna; czytano na pokrywie te słowa w literach obcych:

„Ten, który mnie wybierze będzie miał więcej, niż się spodziewa”.

Trzecia skrzynka była z cyzelowanej kości słoniowej i miała te słowa:

„Ten, który mnie wybierze, będzie miał szczęście, o jakim marzył”.

Albertyna siadła za stołem na fotelu. Radca umieścił się koło niej. Manasse i złotnik cofnęli się w głąb sali.

Ponieważ los postanowił, że Tussman miał wybierać pierwszy, jego dwaj rywale wyszli do izby sąsiedniej.

Sekretarz zbliżył się do stołu, przyglądał się po kolei wszystkim napisom. Wkrótce go nęcić zaczęły najwięcej osobliwe litery na skrzynce srebrnej.

— Ojczye niebieski — zawołał z entuzjazmem — co za piękne pismo arabskie! I jak dobrze się łączy z tym łacińskim zdaniem: „Ten, który mnie wybierze, będzie miał więcej, niż się spodziewa”. Czy spodziewałem się kiedy, że panna Albertyna zgodzi się oddać mi rękę? Czy raczej nie wyrzekłem się przeszłości? Czyż nie rzuciłem się do stawu? Dalej, oto moja pociecha, oto moje szczęście: wybieram skrzynkę srebrną.

Albertyna powstała, by podać sekretarzowi mały kluczyk, którym ten otworzył skrzynkę. Ale jakież było jego przerażenie, gdy zamiast obrazu Albertyny ujrzał tylko książkę, oprawioną w pergamin, na którym znajdował się napis taki:

Chociażbyś popełnił błąd,  
Wielką radość zyskasz stąd.

Dobrze wybrał tu twój sąd:  
*Ignorantiam*<sup>60</sup> strącasz w ką,  
W *sapientiae*<sup>61</sup> wnikasz prąd.

— O, wielki Boże — zawołał Tussman —  
książka! A nawet nie książka — to biały papier.  
Żegnaj mi, wszystka nadziejo. O, nieszczęsny  
sekretarzu! Dalej, koniec twój nadszedł! Wra-  
cajmy do sadzawki.

Tussman chciał się oddalić. Leonard go za-  
trzymał i rzecze:

— Jesteś nierozsądny. Żaden skarb na świe-  
cie nie może mieć dla ciebie większej ceny, niż  
ten, który odnalazłeś. Napis już by ci powinien  
wyjaśnić tę prawdę. Pozwól mi, że ci tę książkę  
włożę do kieszeni.

Tussman posłuchał.

— Teraz — odparł złotnik — pomyśl o książ-  
ce, którą chciałbyś mieć w tej chwili.

---

<sup>60</sup>*ignorantia* — (łac.) — niewiedza. [przypis edytorski]

<sup>61</sup>*sapientia* (łac.) — mądrość. [przypis edytorski]

— Boże — zawołał sekretarz — toż w momencie szafu rzuciłem w wodę książkę Tomasiusa.

— Weź książkę, którą masz w kieszeni i spojrzij na nią.

Tussman wyjął książkę z kieszeni: był to *Traktat polityczny Tomasiusa*.

— Ach, drogi Tomasiusie! — zawołał sekretarz z zachwytem — otoś wyrwany żabom, których niczego byś nie nauczył.

— Cicho! — rzekł złotnik. — Włóż z powrotem książkę do kieszeni i pomyśl o jakim bądź innym dziele, któregoś na próżno szukał w niejednej bibliotece.

— Boże! — odparł Tussman — Gdy chciałem iść na operę, by się rozerwać, pragnąłem bardzo i zawsze na próżno mieć małą książkę, która w sposób alegoryczny mówi o muzykach i kompozytorach. Myślę tu o rzeczy p. t. *Wojna muzyczna Jana Beera albo opis spotkania dwóch bohaterów, Kompozycji i Harmonii, jak rozpoczęły walkę wzajemną przeciw sobie i jak po krwawej bitwie zawarły przymierze*.



— Szukaj w kieszeni i spójrz! — powiada złotnik.

Sekretarz wydał okrzyk radości, gdy w swej tajemniczej książeczce ujrzał *Wojnę muzyczną* Jana Beera.

— A zatem — dodał Leonard — posiadając tę książkę, znalezioną w skrzynce, masz najbogatszą, najkompletniejszą bibliotekę i możesz ją nosić ze sobą wszędzie, gdzie zechcesz; wystarczy ci bowiem mieć życzenie, a książka, którą znajdujesz w kieszeni, będzie właśnie tą, którą pragniesz czytać.

Nie zajmując się już ani Albertyną, ani radcą, sekretarz udał się w kąt salonu, usiadł w fotelu, włożył książkę do kieszeni, wyjął ją znowu i z blasku jego oczu widać było, że jest najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi.

Nadeszła kolej barona. Kołysząc się ruszał do stołu, przez szkiełka zaczął oglądać skrzynki i po cichu czytał napisy. Skrzynka złota z wieńcem dukatów olśniła jego oczy:

„Ten, co wybierze mnie, będzie szczęśliwy, zgodnie z pragnieniami swej duszy”.

— Dukaty — rzekł — oto moje szczęście, Albertyna zaś również jest tym, czego dusza moja pragnie. — Mówiąc te słowa, otworzył skrzynkę; znalazł w niej pilnik angielski i kartkę z napisem:

Wypełnione twe pragnienie!  
W sercu twym niech upojenie  
Drga, bo wszystko inne — niczym!  
Naprzód z śmiałym idź obliczem:  
Wszędy zyskasz powodzenie!

— Ach — zawołał Benjamin z gniewem — i na cóż mi ten pilnik? Pilnik to nie portret Albertyny. Biorę tę skrzynkę i ofiaruję ją pannie Albertynie, jako dar ślubny.

— Idziesz za daleko, panie — rzekł złotnik — uważaj się za szczęśliwego, że masz ten pilnik; z chwilą zaś, gdy go wypróbujesz, wyznasz, że jest to dar nadzwyczaj cenny. Czy masz przy sobie dukata karbowanego?

— Mam — rzekł baron tonem żalonym — ale po cóż to wszystko?

— Obrzynaj go tym pilnikiem.

Benjamin wykonał tę robotę ze zręcznością, która dowodziła wielkiego doświadczenia, i w miarę jak obrzywał dukat, obrzeże stawało się piękniejszym i świetniejszym.

Manasse, który dotąd stał nieruchomy, rzucił się z okiem rozplomienionym ku swemu siostrzanowi i zawołał z uniesieniem:

— Co widzę? To moja maszynka! Ten pilnik jest mój, mój! To narzędzie czarnoksięskie, za które swoją duszę sprzedałem diabłu trzysta lat temu.

Chciał wyrwać pilnik z rąk swego siostrzana, ale ten go odepchnął, mówiąc:

— Idź precz, stary szaleńcze! Ja ją znalazłem, należy do mnie!

I bronił pilnika, jak lwica broni swych małych, gdy Manasse, zgrzytając zębami, pieniąc się gniewem, rzucał na niego coraz okropniejsze przekleństwa. Wreszcie Benjamin, ująwszy silną ręką swego wuja, wyrzucił go za drzwi, po czym siadł przy małym stoliku obok sekretarza i zaczął gorliwie obrzynać dukaty.

— Otośmy na koniec wyzwoleni od tego okropnego człowieka, starego Manasse — rzeki złotnik. — Powiadają, że to drugi Ahaswer<sup>62</sup> i że błądzi po świecie od r. 1572. Wówczas sądzony był pod imieniem Lippolda i skazany jako winny czarnoksięstwa, ale diabeł go ocalił, wzięwszy od niego duszę. Wielu ludzi zapewnia, że widywali go w Berlinie pod rozmaitą postacią. Dzięki memu doświadczeniu, oto już on daleko od nas na zawsze.

Na koniec Edmund wziął skrzynkę z kości słoniowej i znalazł w niej piękny portret miniaturowy, oraz takie słowa, wierszem ułożone:

Znalazłeś szczęście swe — więc je oglądaj  
W precudnych oczach swej umiłowanej.  
Co było — nigdy więcej nie powróci:  
Takie jest świata wieczne przeznaczenie.  
Rozkosz, w marzeniach sennych przeczuwaną,  
Znajdziesz w kochanki swojej pocałunkach.

---

<sup>62</sup>*Ahaswer* — Żyd Wieczny Tułacz. [przypis edytorski]

Edmund, idąc jak Bassanio<sup>63</sup> za radą poety, przycisnął Albertynę do serca, a radca patrzył zadowolony tym szczęśliwym rozwiązaniem wszystkich kłopotów, wywołanych małżeństwem córki. W tym czasie Benjamin dalej obrzynał dukaty, Tussman czytał swoją książkę; i ani jeden, ani drugi nie zajmowali się tym, co się dokoła nich dzieje. Radca zawiadomił ich, że młody malarz pozyskał rękę Albertyny. Obaj słuchali tej nowiny obojętnie. Każdy był zajęty losem, jaki mu wypadł i żaden z nich nie odczuł zazdrości. Po jakimś czasie pożegnali radcę, dziękując mu z zapałem za skarb, jaki za jego sprawą otrzymali.

Kilka tygodni minęło pełnych radości i zachwytu dla Edmunda i Albertyny. Złotnik przybył naraz, by wzburzyć szczęście młodej pary, przypominając Edmundowi, że mu uroczyście zapowiedział wyjazd do Włoch.

Mimo głębokiego żalu młody malarz musiał pożegnać ukochaną; czuł się gorąco porwa-

---

<sup>63</sup>*Bassanio* — postać z *Kupca weneckiego* Williama Shakespeare'a. [przypis edytorski]

ny ku ojczyźnie sztuki, tak że postanowił natychmiast udać się w podróż.

Od roku Edmund jest w Rzymie i powiadają, że jego korespondencja z Albertyną staje się z dnia na dzień mniej częsta i mniej czuła. Zauważono też, że pewien przystojny i wysmukły referendarz<sup>64</sup>, elegancko ubrany, często przechadza się po parku z panną Albertyną, przetańczywszy z nią całą zimę — i że radca przygląda mu się z miną bardzo zadowoloną. Referendarz przeszedł z odznaczeniem egzaminu, które mają mu służyć jako tytuł w jego karierze. Może poślubi Albertynę, skoro uzyska należyte stanowisko w świecie urzędniczym.

---

<sup>64</sup>referendarz — urzędnik koronny przyjmujący prośby i skargi ludności.  
[przypis edytorski]

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.

Fundacja Nowoczesna Polska zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony:  
<http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/powiesci-fantastyczne-wybor-narzeczonej>

Tekst opracowany na podstawie: E. T. A. Hoffmann, Powieści fantastyczne, T. II, red. Jan Lorentowicz, oprac. Antoni Lange, nakł. i druk Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów, Skł. gł. w Księgarni E. Wendego i S-ki, H. Altenberg, Warszawa [ca 1913]

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Śląską z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BŚ.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Ewelina Ojdana, Marta Niedziałkowska, Małgorzata Biernacka, Paweł Kozioł.

Okładka na podstawie: untitled, mariaaantonina@Flickr, CC BY-SA 2.0

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przeznacz 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska,

KRS 0000000006 E. T. A. HOFFMANN *Wybór narzeczonej*

119

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.